



*Halina Szpak*

*"Mimo wszystko - wróciliśmy."*

*KOBYRŃ - KARAGANDA - SZCZECIN*

*Szczecin 2014*



*To ja w roku 1938 kiedy byłam uczennicą  
gimnazjum humanistycznego im. Marii  
Rodziewiczówny w Kobryniu*

## WSTĘP

Wspomnienia te obejmują sześć lat mojego dzieciństwa i wczesnej młodości, spędzonych w łzach i trwodze, w chłodzie i głodzie, bardzo daleko od ziemi ojczystej, w bezmiarze stepów, gdzie tylko modlitwa pomagała nie utracić nadziei i przetrwać.

Oboje z mężem jesteśmy dziadkami i pradiadkami. W tym roku będziemy obchodzić sześćdziesiątą piątą rocznicę naszego ślubu. Jesteśmy w dziewięćdziesiątym roku życia i wkrótce powitamy jedenastego prawnuka.

Zaliczamy się już do historii. Spisałam te przyczyni, aby pozostały na zawsze ku pamięci potomnych.

**Halina Szpak**

Los wygnańców już od pierwszych dni wojny prześladował moją rodzinę. Bardzo szybko, jak wiemy nawałnica niemiecka zbliżała się do wschodnich kresów. Mój ojciec całymi dniami był nieobecny w domu, a gdy zjawił się pewnego wieczoru, to tylko po nas. Mamy opuścić nasz piękny dom, już autobusy czekają, bo właśnie tu, w Kobryniu będą walki aż do zwycięstwa. Gotowi do drogi w pół godziny, szliśmy zaciemnionymi uliczkami do ulicy Trzeciego Maja. Tatusz wiozł nasze podręczne bagaże na rowerze, a my szliśmy obok, przestraszeni i ciekawi.

Widziałam moich kolegów ze starszych klas. Przysposobienie Wojskowe szło w szeregu jak wojsko. Młodzież żydowska z rowerami śpieszyła do swojej szkoły, która mieściła się niedaleko naszego domu. Patrole wojskowe co raz zatrzymywały przechodniów, świecąc latarkami przy sprawdzaniu dokumentów. Doszliśmy do autobusów. Matki z dziećmi już zajmowały miejsca. Nie było pożegnań, bo przecież za kilka dni spotkamy się po zwycięstwie. Wówczas widziałam mego ojca ostatni raz w mundurze. Ruszyliśmy w ciemną noc, modląc się, by nie wypatrzyły nas wrogie samoloty. Nad ranem stanęliśmy, a kierowca oznajmił, że jesteśmy w Pińsku. Było mgliście i szaro, puste ulice. Pojechaliśmy dalej, a gdy stał się dzień jasny, wyładowano nas w dalekiej wiosce położonej pośród bagien, blisko sowieckiej granicy. Stanęliśmy na jednej długiej ulicy zabudowanej po obu stronach chatami krytymi słomą. Przywitało nas pianie kogutów. Rodziny zostały rozkwaterowane wśród miejscowych gospodarzy. My trafiliśmy do Żyda, właściciela sklepiku na skraju wsi. Radzono nam nie wychodzić z domu.

Po kilku godzinach, spoglądając ukradkiem przez okno, widzieliśmy coraz więcej snujących się po ulicy chłopów z czerwonymi opaskami na rękawach. Doszły wieści, że posterunek policji został przez nich opanowany, a policjanci ranni – zginęli w pobliskich bagnach. Gospodarz przyniósł wiadomości, że grozi nam niebezpieczeństwo, jest postanowione że musimy zginąć jako obcy i wroddzy. Zanim skryliśmy się w piwnicy, spostrzegliśmy przed oknami podniecony tłum, ludzie biegali w różne strony, a uzbrojeni w karabiny chłopcy usiłowali opanować sytuację.

Zbliżała się groźna noc. Trudno było o ciszę, bo niemowlę jednej z matek stałe płakało. Było nas kilka rodzin, dzieciom posłano na podłozce, ale nikt nie spał. Poszły słuchy, że granicę przekroczyły wojska sowieckie, żeby „oswobodzić” chłopów. Nasze matki twierdziły, że tak lepiej, bo idzie prawo, wprowadzie wrogię, ale lepsze niż bezprawie. Noc wlokła się długo. Rano usłyszeliśmy strzały i płacz. Kula dosięgła starego człowieka. Byliśmy świadkami pierwszej ofiary spośród nas. Zapanaowała trwoga i niepewność, płacz i lament.

Niedługo potem nasza mama wyszła z ukrycia i spotkała polskich żołnierzy. Nastąpiła wielka radość. Pan kapitan ogromnie się zdziwił widząc nas. Szli z odsieczą



*Wszyscy razem. Mama, Tata, ja, mój brat Tudenz i siostra Marysia (po prawej).*

dla posterunku, a raczej dla rodzin pomordowanych policjantów. Natychmiast zabrano nas do polskiego majątku Skirmuntów.

Po wysłuchaniu mszy świętej w małej kapliczce w podziękowaniu za ocalenie, opuściliśmy razem z wojskiem wrogie tereny. Dla bezpieczeństwa jechaliśmy w nocy bez oświetlenia. Pożary rozjaśniały horyzont po obu stronach, wojna objęła nasz kraj, a z nią cierpienia i łzy. Po odwiezieniu nas do stacji kolejowej, żołnierze pożegnali się z nami, byli smutni i zrezygnowani, nasze matki płakały. Stały wagony pełne ludzi, każdy chciał do domu. Ruszyliśmy, ale zaraz na następnym postoju zaatakowały nas samoloty z czerwonymi gwiazdami. Leciały nisko i strzelały całymimi seriami do kobiet i dzieci. Gdzie kto mógł wyskakiwał z wagonu i chował się albo w krzaki albo pod ściany zabudowań. Ja przycupnęłam pod płotem, nie chciałam zostawić swojej mamy, która nie mogła biegać. Krzyki rozdzierały powietrze i straszne rżenie koni, które uwięzione w zamkniętych wagonach, były łatwym celem. Ranne zwierzęta padały, a ich krew ściekała wzdłuż torów.

Pani Krysowa ze swoim niemowlęciem uciekała w pole. W szoku nie zauważyła, że zgubiła dziecko, które wyslizgnęło się z becika. Po nalocie szukaliśmy je po wielkich zagonach pola. Dobrze, że płakało, usłyszeliśmy. Leżało w kapuście. Wróciliśmy do wagonów, ruszył z wolna pociąg – widmo bez określonego celu, bo wszędzie były pozrywane mosty. Nękały nas nieprzyjacielskie naloty. Często stawaliśmy w polu, nasze marki na rozpalonych ogniskach wzdłuż długich wagonów przy torach gotowały w wiadrach zupy z przydrożnych warzyw. Coraz częściej byliśmy głodni.

W naszej wędrówce spotkaliśmy kilku żołnierzy, którzy niedawno przynieśli nam ocalenie. Byli ranni, obloceni brudni, szli w nieładzie z pochylonymi głowami. Płakaliśmy wszyscy. Nad naszym krajem rozpościerała się żałoba. Na kolejnym postoju doszła wieść, że należy wywiesić białą flagę, bo zbliżają się wojska sowieckie.

Był słotny jesienny dzień. Na horyzoncie ujrzelśmy szarą chmurę na ziemi. Szło obce, poture, ziemiste wojsko, zabierało pod swoje władanie naszą Ojczyznę. Widzieliśmy, że już doszło do pierwszych wagonów pociągu. Nikt nie wychodził na zewnątrz. Pod naszym wagonem przepływał mały strumyk, co raz rozlegał się plusk wody. To ludzie pozbywali się broni, koledzy harcerze wyrzucali swoje bagnety. Ksiądz stał w drzwiach i odmawiał różaniec, uspokajał nasze matki i młodzież. Naraz doszedł rozkaz, że mamy wyjść i stanąć w dwuszeregu. Ludzie zaczęli rozpaczać, że nas rozstrzelają. Wołam do mamy (miałam wówczas piętnaście lat), że zasłonię sobą Marysię (młodszą siostrę), a mama ochroni dziesięcioletniego brata. Staliśmy posłusznie, przed nami leżały tobołki, które przeszukiwali żołnierze wraz z wagonami.

Kazali zdawać broń, ale nikt jej nie posiadał. Oczekiwanie przedłużało się, bo pociąg był bardzo długi. Nasza mama nie mogła ustać w miejscu, wreszcie doszła do skosnookiego żołnierza. Znała język rosyjski jeszcze z carskich czasów, urodziła się i wychowała w Kobryniu, gdy nie było Polski. Nieraz opowiadała, jak biegła po uliczkach, niosąc polskie książki pod długą suknią. A najbardziej bała się „stójkowego” i pytania: „kuda idziesz barysznia”.



*Mój Ojciec (rok 1918)*

Oficjalnie chodziła do „szkoły szycia” pani Zabińskiej (zasłużonej nauczycielki naszego miasta), a po kryjomu były tam prowadzone lekcje mowy ojczystej. Dyżurne klasowe pełniły służbę przy oknach i drzwiach, chroniąc przed niespodziewaną kontrolą wroga.

I tak oto teraz moja matka wyszła z szeregu i zwróciła się do „bojca” po rosyjsku: „gospadin” – „panie, co z nami zrobią?”. Ten się odwrócił i zaśmiał: „kakoaj ja gospadin” – „jaki ja pan, to wy polskie pany i nie znam co z wami zrobią”. Kazał odejść, ale mama drżącymi rękoma wyjęła papierosy i częstowała, chcąc przedłożyć rozmowę. Już cała gromada „naczelstawa” zbliżała się ku nam, należało stać w milczeniu i czekać. Po dłuższej chwili przetłumaczono, że mamy wracać do wagonów i że będziemy rozwiezieni do domów.

Powoli pociąg ruszył. Mijałyśmy obce wojska, samochody i czołgi. Było cicho i smutno. Dopiero po kilku dniach dojechalśmy do Kobrynia, do domu, który na nasze szczęście ocalał. Po kilku tygodniach wrócił ojciec. Miał za sobą ciężki szlak - aresztowanie, wiele kilometrów wędrówki pieszo, więzienie w Pińsku. Bardzo się martwił o nas, a los chciał, że prowadzono go ulicami Kobrynia koło naszego domu w nocy i nie mógł się dowiedzieć, czy wróciliśmy, bo okna były ciemne.

Wkrótce kazano nam iść do szkół. Wróciłam do gimnazjum, ale to już nie była nasza szkoła. Zamiast orla widziałam pełno młotów i sierpów, nie było kwiatów, nie było już braci szkolnej. Wielu naszych profesorów już nie spotkaliśmy. Na lekcji geografii była cisza, bo kazano nam podziwiać obcą stolicę, a nasza Warszawa przeżywała dramat. Nie zobaczyliśmy już więcej naszego dyrektora, którego z racji wielkich siwych wąsów, nazywaliśmy „Białym wodzem”. Zdjęto krzyż i powieszono portrety trzech brodaczy. Pewnego dnia ujrzeliśmy odkryty ślad po krzyżu, na którym wisiał środkowy portret, a poniżej wielki napis: „Dobry Panie znów wisisz pomiędzy dwoma łotrami”. Pogrom spadł na podejrzanych, a podejrzanyimi byli wszyscy.

Coraz więcej pociągów ciągnęło na wschód. Nie wiedzieliśmy wówczas o tym, że i my wkrótce znikniemy z naszego Kobrynia...



*Moja Szkoła — Gimnazjum Humanistyczne  
im. Marii Rodziewiczówny w Kobryniu*

Miesiąc kwiecień jest Miesiącem Pamięci Narodowej, 13 – kwietnia jest nie tylko „Dniem Ofiar Katynia, ale również rocznicą naszego deportowania na Sybir. Trzynastego grudnia NKWD przyszło w nocy po ojca. Tym razem zabrano go na zawsze: Do dziś pamiętam pochyloną postać w świetle ulicznej latarni. Miał z tyłu skute ręce, w otoczeniu czterech „bojców” z bagnetami na karabinach. Słychać było przeciągłe wycie naszego psa, pewnie czuł nieszczęście i zegnał swojego pana.

Nas deportowano 13-go kwietnia 1940 roku. Stało się to również w nocy. Głośnie łomotanie do drzwi - „Otwierać!” - wtargnęło kilku uzbrojonych, dano dwadzieścia minut na spakowanie się. Było nas troje dzieci i matka, na ulicy czekała farmanka z końmi, nieopodal samochód z rodziną „krasnoarmiejca”, który miał zamieszkać w naszym domu. Pamiętam, gdy już byliśmy na wozie, przybiegła nasza babcia, mieszkająca w sąsiedztwie, bardzo płakała, zegnała nas krzyżem, na to wysiadła z samochodu „krasnoarmiejka” i zwróciła się do babci, żeby nie płakała, bo gdzieś za pięć lat wrócimy jako „priekrasnyje komunisty”. To było wszystko, wóz ruszył do pobliskiego dworca kolejowego, tam w kolejce czekaliśmy na załadowanie nas do jednego z wielu wagonów towarowych. Ze wszystkich stron jechały farmanki z kobietami, dziećmi i tobołkami o wadze 20 kg na osobę. Długo czekaliśmy. Przyszedł do nas jeszcze dziadek. Wysoki, z sumiastym wąsem, w karakułowej czapce. Stał milezący, oparty o lasce, a po jego policzkach spływały łzy. Widziałam go wówczas ostatni raz. Ludzie zrozpaczeni, matki opatulały swoje dzieci, wszyscy płakali i płakali. Już nastał wczesny ranek kwietniowy, ja, piętnastoletnia dziewczyna stałam obok wagonu, do którego nas załadowano, z daleka tłumnie zegnano „skazanych”, rozdzielał nas kordon wartowników z bagnetami na karabinach. Nie wiem, w jaki sposób nasz dziadek znalazł się tak blisko nas, pocieszał mamę, że gorzej mieli osadnicy, których wywieźli w lutym, w trzaskający mróz, że teraz jest wiosna, że słońce będzie nam sprzyjało.

Nad małą stacją mego rodzinnego Kobrynia rzeczywiście świeciło słońce, które nie wiedziało o naszym nieszczęściu, a tak pachniało Świętem Wielkanocnym. To było długie czekanie i długie pożegnanie nie tylko zwartego tłumu stojącego z daleka, ale pożegnanie mojego dzieciństwa. Nadszedł czas pożegnań w moim młodym życiu. Zegnałam w lutym mojego ojca. Od miesiąca grudnia, gdy go zabrali, siedział w więzieniu, znajomi dali nam znać, że zamiatał ulicę przed więzieniem. Wiele godzin czekałam przed bramą więzienną, żeby zobaczyć mojego tatusia - niestety. Któregoś późnego wieczoru mieliśmy gościa, zapukał do nas nieznajomy, który przebywał z ojcem w więzieniu. Przyszedł z poleceniem, by mama użyła wszelkich starań i przysłała cebulę. Bardzo martwił się o nas, choć sam był chory, zabrano go z domu z łóżka. Tych cebul miało być cztery na znak, że nikogo z nas nie brak, a jeżeli nie jest taka sama i od rodziny doznaje trochę pomocy, ma włożyć jeszcze jedną cebulę, większą. Nieznajomy mówił szeptem, rozglądał się, nie mógł się narażać, ale musiał spełnić prośbę,



*Mój Ojciec Piotr Pietura.  
Przedownik Policji  
Państwowej.*

tym bardziej, że podobno mój Tatusz wszystkich trzymał na duchu i gdy już nie miał do powiedzenia, opowiadał im bajki. Udało się mamie podać paczkę z cebulami, nie wiadomo czy doszła do adresata - a w miesiącu lutym 1940 roku bieglśmy na dworzec, bo naszych Ojców wywozili. Wówczas też nie spotkałam tatusia. Pociąg był, gotów do odjazdu. Widziałam tylko wiele machających rąk poprzez deski, bo nie były to wagony towarowe kryte, ale dookoła deski z wielkimi szparami. Takie wagony służą do przewożenia bydła w lecie: Widzieliśmy przeto wiele rąk, którymi nas żegnali. Czyż mogłam z daleka rozpoznać rękę mojego ojca? To było pożegnanie na wieczność. Po kilku dniach zegnałam moją koleżankę Danusię i wielu znajomych. Odjechały wagony towarowe z rodzinami osadników. Te transporty szły do Archangielska. Północne mrozy czekały na byłych legionistów naszego „Dziadka Piłsudskiego”.

Nadszedł oto moment, że trzeba było pożegnać dom i wszystkich drogich związanych z moim dzieciństwem. Zegnałam mój kochany rodzinny Kobryn, bo wagony zostały zaryglowane i ruszyliśmy na wschód. Dojechalśmy do miasteczka Lida - tam do naszego wagonu doszło jeszcze kilka rodzin, matki z dziećmi. Jedna z kobiet z czworgiem dzieci była bliska porodu. Gdy pociąg zbliżył się do granicy polskiej, widziałam przejście graniczne, słyszałam straszny płacz naszych matek, przez małe okienko obserwowałam uzbrojonych wartowników, byliśmy zamknięci. Od tamtej chwili przesładowały nas przeraźliwe gwizdy, bo obce lokomotywy miały charakterystyczne sygnały. Droga wiodła ciągle na wschód, niedaleko od Moskwy, o ile sobie dobrze przypominam, to była Tuła, pociąg stanął, bo kobieta zaczęła rodzić. Zabrano ją zostawiając czworo dzieci bez opieki. Na szczęście były nasze matki, które dbały nie tylko o swoje. Na większych stacjach pociąg stawał, wagony otwierano i pozwalano wysiąść na chwilę. Najtrudniej było z potrzebami fizjologicznymi.

Początkowo ludzie się krępowali, ale później każdy kucal gdzie mógł. Rozdawano nam „kipiatok”, była to gorąca woda do picia. Należało mieć swoje wiadra i wyznaczonych współtowarzyszy, raczej silnych, by unieśli dwa wiadra. Czasami woda była dość blisko, ale pociąg był długi, nieraz mijano się wiele wagonów, aż doszło się do tej wody i otrzymywaliśmy w końcu zupełnie zimną. Pamiętam, jak z naszego wagonu poszedł człowiek średniego wieku w kozuchu, posiadał liczną rodzinę, o którą dbał, ale wszystkim chciał pomóc. Wrócił z gorącą wodą, ale cóż - była nie do picia, gdyż po wierzchu pływały wszy, które nad parą wysypały się z rękawów kozucha. Smutne to, ale prawdziwe. Byliśmy sobie nawzajem obcy i nieznanymi, skazani na wspólny los. Każdy wagon był przepelniony, ludzie spali na podłodze po obu stronach i wyżej na tak zwanych „narach”. Najgorsze były noce, brak powietrza, brak miejsca by podkurczyć nogi. Słyszałam płacz i westchnienia mojej matki. My, dzieci, nie plakaliśmy.



*„Zart” - portret ciotki Wiki która nigdy nie paliła, a pracowała w fabryce gisz do papierosów.*



Główną pociechą było to, że jedziemy do ojców. Tak nam powiedziano, gdy wtargnięto nocą do naszego domu. Pamiętam jak chroniłam gitarę przez całą drogę, bo tatuś lubił, gdy grałam. Wiozłam również dla tatusia moje rysunki. Podobno zapowiadałam się jako malarka, już jako dziecko rysowałam swoich nauczycieli w szkole powszechnej, a później w gimnazjum. Portretowałam wszystkich w domu, a tatuś był ze mnie dumny, marzył o mojej nauce w Krakowie. Chroniłam więc moje skarby, by je dowieźć, a już jak tatuś będzie z nami, to będzie dobrze.

Do największych skarbów należał jeszcze Dyplomik Niepokalanej, z którym wiązało się moje dzieciństwo.

Ze wszystkich moich dziesięciu ciotek (moja mama pochodziła z licznej rodziny, gdzie było piętnascioro dzieci) najbardziej byłam przywiązana do cioci Stefanii, która dla nas dzieci była ciocią „Tetą”. Wiem o niej tyle, że zaraz po pierwszej wojnie światowej była nauczycielką w Płońsku. Kochała swój zawód, niestety zachorowała na oczy – groziła jej utrata wzroku. Musiała zrezygnować z pracy, poddała się operacji i leczeniu. Dało to pomyślny wynik. Zawsze mówiła, że wierzyła w opiekę Matki Bożej. Gdy miałam dziesięć lat, zapisała mnie do Rycerstwa Niepokalanej, do którego sama należała od początku powstania Niepokalanowa. Otrzymałam wówczas dyplomik z podpisem Ojca Maksymiliana Marii Kolbego, jako księdza promotora. Dzięki sp. Cioci „Tecie” rosłam w kuliście Maryjnym, uczestnicząc w nabożeństwach majowych.

Sciśnięta w wagonie wśród płaczu naszych matek, pilnowałam moich skarbów i wierzyłam w opiekę Matki Bożej. Obecnie mój dyplomik jest relikwią po naszym Wielkim Świętym. Nigdy nie rozstawałam się z nim. Wierzyłam w moc Bożą i w późniejszych latach zsyłki zawsze czułam opiekę Niepokalanej.

W miarę upływu dni naszej wywózki były coraz dłuższe postoje. Spotykaliśmy rodaków ze Lwowa, Wilna, Tarnopola, Lucka, czasami oni nas mijali, innym razem my ich. My młodzi machaliśmy sobie z uśmiechem – do zobaczenia, może się spotkamy...

Staliśmy dość długo na granicy europejsko – azjatyckiej. Był wczesny świt, nasz transport stał wysoko nad miastem, w oddali niezmierzone góry, było szaro i straszno. W dole, niedaleko, pracowali ludzie przy ciężkiej pracy, dźwigali szyny kolejowe i rozmieszczali je wzdłuż budowanej drogi. Zdumione były nasze matki, gdy rozpoznały że to są kobiety. Jedynie chustki powiązane nisko nad oczami do tyłu zdradzały płeć ciężko pracujących.

Transport ruszył, wjeżdżaliśmy w odmienny, pustynny kraj. Przez wiele dni i nocy mijaliśmy niezmierny step, a nad nim gorące słońce. Wreszcie zbliżał się cel naszej podróży. Po dwóch tygodniach wylądowali nas w Kazachstanie – w Akmołensku, raczej poza miastem.



Znana przedwojenna aktorka - Jadwiga Smosarska

1. Właściwość ...

**PROSTA DLA KAPITAŁOW.**  
WYKONANIE WZ. 10/100/1921.

1. Właściwość ...
2. Właściwość ...
3. Właściwość ...
4. Właściwość ...
5. Właściwość ...
6. Właściwość ...
7. Właściwość ...



Wydanie: „MILICJA NIEPOKALANEJ” w Warszawie, w 1921 r. 1/100/1921.



## DYPLOMIK MILICJI NIEPOKALANEJ

1000

**PROSTA DLA KAPITAŁOW**

10

W. 1000/1921

Liczba 1. 1000/1921

1000

**PROSTA DLA KAPITAŁOW**

W. 1000/1921

X. X. 1000/1921

## DYPLOMIK MILICJI NIEPOKALANEJ (M. I.)

W. 1000/1921  
1000/1921

*Halina  
Poborska*

1000/1921

1000/1921

1000/1921

Rozwozili nas samochodami ciężarowymi po kolchozach. Nasz wagon trafił do poseszka „Razdolnyj” – trzydzieści kilometrów od Akmołenska. Kazali wysiadać przed domem kultury, który „tonał w czerwieni”, bo był to pierwszy maja, wielkie święto tutejsze. Dumnie powiewały czerwone flagi i wzniosłe hasła „Witaj 1- Maja”. Nas nikt nie witał. Siedzieliśmy na swoich tobołkach, czekając na dalsze rozkazy. Wokół zacieśniał się krąg miejscowych ludzi, przyglądali się nam. Kobiety w chustkach, mężczyźni w gumowych butach, a wszyscy w tak zwanych „kufajkach” (waciakach). Było mniej strasznie, bo już nie otaczali nas żołnierze z bagnietami. Zaczął padać deszcz, kazali nam przenieść się do domu kultury, który był centralnym punktem osiedla. Stąd szły ulice, a raczej drożki, zabudowane domami bez dachów, przysypane ziemią. Były to ziemianki własnoręcznie wybudowane przez zesłańców, takich jak my, Rosjan wysiedlonych w latach trzydziestych z okolic Bajkału. Ojczyzna skazała ich na poniewierkę za to że, byli zasobnymi gospodarzami na ziemi syberyjskiej, a to znaczyło, że byli niebezpiecznymi wrogami ówczesnej władzy. Teraz stali dookoła nas, milczący, zwarty tłum, smutni i ciekawi świata zewnętrznego, do którego nie mieli dostępu. Jeden z nich, widocznie jako miejscowa władza, zaproponował im, że mogą kogoś wybrać do swego domu i tymczasowo zaopiekować się. Obok nas siedziała pani B. W ślicznym białym futrze – młoda mama z malutką córeczką. Zaraz zaproponowano jej schronisko. Tobołki pozbierał młody, kulejący człowiek, a jego matka zajęła się panią B. Odeszli, my - rodziny wielodzietne, zostaliśmy.

Czas włócił się powoli, byliśmy głodni, nasze matki rozpoczęły starania o jakiś kąs. Mama, znająca język rosyjski, znalazła ziemiankę, gdzie mogliśmy się zadomowić. Była to mała izdebka, z okienkiem, z klepiskiem zamiast podłogi. Po środku stał piec, na którym mogliśmy zagotować wodę. Za opał służył „kiziak”, czyli nawóz bydłocy zmieszany ze słomą, wysuszony na słońcu. Wkrótce mieliśmy się przekonać jaką zmorą było zdobycie tego opału, zwłaszcza w zimie, gdy mróz dochodził do 45 stopni poniżej zera. Na razie należało postarać się o jakieś deski na nary do spania, ale najważniejsze że były drzwi. Mogliśmy się zamknąć ze swoją tragedią przed miejscowymi ludźmi, którzy przepowiadali nam dzieje, jakie sami przeżyli, a my nie chcieliśmy tego słuchać. Żyliśmy Polską i dla Polski, żyliśmy tylko tym, że wrócimy. Nastaly szare, beznadziejne dni, tygodnie, miesiące. Musieliśmy iść do pracy, bo „kto nie pracuje ten nie je”. Niestety, praca nie dawała gwarancji przeżycia, nie dostawaliśmy zapłaty. Trzeba było



zamieniać osobiste rzeczy które, zdołaliśmy przywieźć na chleb – zboże (które potem mieliśmy w ręcznych żarnach) Koszule nocne i piżamy służyły ludziom jako ubrania lerne, bo upały były nie do zniesienia, a trudności w zdobyciu czegoś lżejszego na lato były nie do pokonania. Toteż kwitł handel zamienny. Wprawdzie kolechoźnicy nie mieli prawa hodowania ani kur, ani trzody chlewnej, ale były pobliskie wioski zamieszkałe przez Kirgizów, którzy chętnie nabywali prześcieradła, bieliznę za trochę mleka lub placki z mąki pieczone przez siebie, a służące jako chleb. Ale to wszystko było jeszcze przed nami.

W pierwszych dniach należało zaopiekować się dziećmi bez matki, którą zabrano w czasie drogi na poród. Sytuację pogarszało gorzkie przeświadczenie, że dzieci mogą już nigdy nie zobaczyć matki i trzeba było zrobić wszystko, by nie dopuścić, aby zabrano dzieci pod opiekę obcego państwa. Plakały nasze mamy, obciążone dziećmi, niezdolne do trudu codziennego, przygniecione nieszczęściem swoich rodzin, pozbawione domu, skazane na rozłąkę z najbliższymi. W obcym świecie musiały wszystkiemu podoleć, bo trzeba było żyć dla dzieci, a co czekało te dzieci, które nawet matki nie miały? I spadło na nas wszystkich jeszcze jedno nieszczęście, bo jedno z tych osieroconych dzieci umarło. Nie pamiętam, co było przyczyną śmierci czteroletniej dziewczynki. Leżała cichutko na ławce w izdebce, miała ciemne włoski, jej małe rączki były wyciągnięte wzdłuż ciała. My, dziewczynki, zerwałyśmy ledwie wyrosniętą trawkę na stepie, ubrałyśmy ją w zieleni. Nasze matki przygotowały pogrzeb. Należało zwłoki owinąć w prześcieradło i bez trumny pochować w twardej stepowej ziemi, a dół musiał być dostatecznie głęboki, bo w nocy grasowały wilki.



*Rodzina Kirgizów - chodziłam do nich nieraz na herbatę.*

Krzętałyśmy się wokół zmarłego dziecka, naraż w progu stanęła ich matka. Na ręku miała zawiniątko, a w nim narodzone dziecko. Rozpacz była ogromna, ale i szczęście dla pozostałych trojga dzieci. To był cud, że je odnalazła. Opowiadała później, że urodziła w jakimś szpitalu, że z noworodkiem na ręku postanowiła odnaleźć swoje dzieci. Dotarła do Moskwy, gdzie siedząc na ulicy wołała aby ją doprowadzono do Stalina. Krzyczała w rozpacz, że jeżeli taki dobry, to niech odnajdzie jej dzieci, wywiezione w nieznaną bez opieki. Może ten bezradny krzyk pomógł, może dzięki szczęściu nie doprowadzono jej do „wodza najwyższego” i może dzięki temu znaleźli się ludzie z sercem. Przy pomocy Bożej, cudem, odnaleziono szlak naszego transportu i skierowano biedną kobietę na daleki Kazachstan. Przez wiele dni tułała się po pociągach z noworodkiem, odnalazła dzieci i jeszcze zdążyła pożegnać swoją zmarłą córeczkę. W niedługim czasie to nowonarodzone dziecko również zmarło, ale zanim to nastąpiło, pochowaliśmy jeszcze jedną dziewczynkę, naszą koleżankę, piętnastoletnią Jadzię.



*Choraliśmy swoicki smartych, nie wiedząc kto z nas następny...*

Podobno była chora na serce, zmarła nagle, w jednej minucie. Nie mogła zostać w izdebce do następnego dnia ze względu na młodsze dzieci. Wynieśliśmy ją do ziemianki za wioską, gdzie przechowywano zmarłych. Jakie było nasze przerażenie, gdy na drugi dzień znaleźliśmy okaleczone zwłoki bez ręki – podobno wilki albo szczury... Zdarto z niej sukienkę, nawet bieliznę. Byliśmy w świecie, gdzie nie szanowano zmarłych.

Pamiętam, jak staliśmy zbitą gromadą w milczeniu i ciszy nad dołem, gdzie pochowaliśmy okaleczone zwłoki. Było nas kilkadziesiąt rodzin, nie wiedzieliśmy, kto z nas będzie następny... Dookoła nas rozciągał się bezkresny step.

### III

Miesiąc maj roku 1940 był bardzo smutnym okresem w naszym wygnaniu. Nie było rodzinnego domu, nie było szkoły, nie było nabożeństw majowych. Ja, piętnastoletnia dziewczyna żyłam czasem, który przeminał. Pachniał mi maj w całej okazałości bzem mojego Kobrynia, rodzinnego miasta. Trwał w moich snach, bo nie znałam bezsennych nocy, zasypiałam kamiennym snem na narach, na ziemi, byle tylko spać. Pobudki o świcie przerywały upragniony wypoczynek młodego ciała i piękne sny o uliczkach Kobrynia, którymi szłam, biegłam do szkoły, do kościoła, do mojej babci. O świcie przywracało mnie



*Kobryn*

**Przypomnij sobie Hala,  
jak żeśmy popadły na sianokos**

Poranne jasne słońko  
Już wzniosło się ku górze  
Drogą wiodącą na ogród  
Słyły cztery panny duże  
    Ta pierwsza z lewej strony  
    Z bardzo poważną miną  
    Najmłodsza z całej czwórki  
    Nazywa się Halińką  
A obok wysza od Hali  
Z twarzączką roześmianą  
Niebieskoocza, jak utęcho, niezach  
Nosila Losi miano  
    Ta cienka - to Marysia  
    Co przyspiewuje sobie  
    Ta czwarta - to właśnie Kazia  
    Ja w swojej własnej osobie  
Idziemy wszystkie razem  
Tylko nam skrzypią pandośle  
Na pracę do ogrodu  
Sądzić za plugiem kartofle  
    I już za parę minut  
    Wraz do ogrodu wpadamy  
    Truchbę za wczesnie przyszłyśmy  
    To też na „Wankę” czekamy  
„Wanka” ten w płaszczu „bojow”  
Z szpiczastą czapką na głowie  
Jest starszym nad „roboczymi”  
I „brygadierem” się zowie  
    Wreszcie przychodzi „Wankuszka”  
    Z miłym uśmiechem na twarzy  
    Daje nam w ręczki motyczki  
    I grządki graczować nam każe  
Pracujemy do obiadu  
W skwarze i pacie czola  
Żeby się czas nie dłużył  
Śpiewamy piosnki wesoło  
    Nadchodzą wreszcie błoga  
    Czekamy przerwa na obiad  
    Rzucamy spieszenie motyki  
    Na „odłych” idziemy  
Po skromnym lekkoim obiedzie  
Siadamy sobie na wale  
Pomiędzy zielonej trawki  
Odpocząć dostaniesz

Lecz jak zmruczenie oka  
Mijają chwile spoczynku  
Musimy znów z motyczkami  
Stając w „roboczym” orczyku  
I znów z westchnieniem czekamy  
Aż słońce na dół się schyli  
Żebyśmy jak najprędzej  
Z pracy do domu wrócili  
    Kiedy słońce, wieczorem,  
    Kładła się do snu z ochotą  
    Przychodzi Wania z Kolką  
    I „przewierają” robotę  
Kola myślimi oczkami  
Przelicza grządkę za grządką  
I mówi: „Płochy zdiełali  
„Jutro zaczniecie z początku”  
    Ale się jego słowami  
    Wcale nie nie wrzucamy  
    Grym, że już praca skończona  
    I już do domu ruszamy  
Aż zatrzymuje nas Kola  
I rzeczce drwiącym głosem  
„Jutro Pietury i Trzaska  
Pojadą na sianokosy”  
    „A Wiruska Katię zawiad  
    Tu na ogrodzie zostawie  
    I ona jutro rano  
    Całą tą pracę poprawi  
Mówi do niego nie mówiąc  
Prędko do domu pedzimy  
Odrobnie zło, nad naszym  
Strasznym nieszczęściem radzimy  
    „Bo jakże my możemy  
    Do tego właśnie dopuścić  
    Azeby naszą czwórka  
    Miał taki Kolka rozłączyć  
I wszystkie jednogłośnie  
Takżeśmy uradziły  
Żeby mnie na sianokos  
W kamforze przydzielili  
    I sprawa poszła gładko  
    Tak nadspodziewanie  
    Mogłam z wami pojechać  
    „Na siana sobieranie”.

Wiersz mojej koleżanki Kazi Wiruski, który napisała  
w pierwszych miesiącach naszego pobytu na Syberii.

do rzeczywistości klepisko, na którym spalam z siostrą i „brygadier”, który poganiał byle szybko. Ale do czego? Nasze życie nie miało by sensu, gdyby nie nadzieja. Wiosna nastala na syberyjskich stepach, a my musimy trwać, bo przecież wrócimy do Polski. Ta wielka nadzieja trzymała nas, kazala nam przetrwać. Matki nasze zostały zatrudnione w kolchozie.

Gorzej było z naszą rodziną, bo mama trafiła do szpitala, poważnie chora. Na szczęście nie wywieziono jej daleko, bo szpitalik (bolnica) był w naszym kolchozie (na cały rejon). Ja z siostrą o rok młodszą musiałyśmy iść do pracy („bo kto nie rabotajet tot nie jest”). Zatrudniono nas jako piętnastoletnie, szesnastoletnie dziewczyny w kolchozowym ogródku. Był to ogrodzony teren, nawadniany dawnym systemem egipskim, gdzie rosły warzywa dla „naczelników”. Musiałyśmy wyrywać zielsko z nawadnianych wodą z pobliskiej rzeczki Iszym, grzędów. Trapiła nas wtedy straszna dyzenteria. Co parę kroków przysiadaliśmy i leciała z nas woda z krwią. Byłyśmy osłabione, ale mimo wszystko raczej beztruskie, bo przecież w jesieni wracamy do Polski. O zachodzie słońca można było nam wracać do „domu”, gdzie czekał wygłodniały dziesięcioletni brat.



Po drodze spotykałyśmy nasze panie. Młode mamy, zatrudnione przy budowie tzw. „samanów”, cegły robionej z gliniastej ziemi, odpowiednio uformowanej na budowę ziemianek, których było brak, bo zatrudniliśmy kolchoz jako wygnancy. Wracały umęczone kobiety polskie do swoich dzieci, pozostawionych bez opieki. Każda, z racji ciężkiej pracy, otrzymywała pół litra mleka tzw. abratu to znaczy odtłuszczonego. Niosły to dla swoich dzieci. Pamiętam jak szły, pięknie opalone, nie poddawały się, podtrzymywały się wzajemnie, bo przecież tylko do jesieni potrwa ta katorga.

Nasza mama na szczęście dość szybko wróciła do nas po chorobie, ale ja z siostrą zostałyśmy wyznaczone na sianokosy. Doszły jeszcze dwie kolezanki. Kazano stawić się rano z jęzzeniem. Załadowano nas na drabiniasty wóz zaprzężony w parę wołów. Rozpoczęliśmy podróż, która trwała cały dzień – musieliśmy przebyć 80 kilometrów w wielkim upale. Woły bez wody nie chciały iść, wlekliśmy się w spiekocie słońca. Po drodze ciągnął się bezkresny step. Gdzieś niegdzie spotykaliśmy kirgiskie osiedla, tzw. kamienne wioski, ciche i milczące, z cmentarzem swoich przodków na poboczu. Woźnica od wołów starał się nawiązać z nami rozmowę, ale byliśmy zrozpaczone i zrezygnowane, zmęczone i spragnione łyżeczka wody. Nicjednokrotnie widziałyśmy na horyzoncie całe miasta o czerwonych dachach z wieżyczkami, wydawało się, że już dojeżdżamy do nich, a nasz przewodnik śmiał się i pokpiwał z naszej niewiedzy, bo była to fatamorgana, nieosiągalne złudzenie. W ciemną noc dojechaliśmy. Jakaś kobieta wzięła nas do swojej izdebki, dała pić i pokątem na podłodze usnęłyśmy. Dopiero rano zobaczyłyśmy gdzie jesteśmy. Na rozległym terenie w stepie stało kilka baraków. Ogromne pomieszczenie dla owiec, zamykane na noc ze względu na wilki grasujące w nocy, obok stajnia i kuchnia, gdzie naprawiano i ostrzono kosy. Dwa baraki służyły do spania dla ludzi. Była tam

„ciocia Kacia” - Rosjanka, dozorczyń. Ona to przyjęła nas do swojej izby i radziła, byśmy się zhytnio nie oddalały i były zawsze razem. Po drugiej stronie baraku mieszkaly dziewczęta bardziej przystosowane do tamtejszych warunków. Nocami było slychać dość głośnie biesiadowanie przy wesołych i smętnych pieśniach. Rosjanie potrafili pięknie spiewać. Siedziałyśmy zastraszone i głodne, stepowe echo niesło wycie wilków. Świat, w którym musiałyśmy żyć, my dziewczęta, był okrutny i zły, nie dane nam było slyścić spiewu ptaków, bo ich po prostu nie było. Każda z nas została przydzielona do zaprzęgu, a był to wół i dwukołowy wózek z ruchomą drabiną zbierającą w kopy skoszoną trawę, dość wysoką, pachnącą cudownie, gdyż porastały w niej gdzie niedzie cudowne, kolorowe kwiaty. Budzono nas ze wschodem słońca, potem był kilkukilometrowy marsz z wołami obok, na miejscu należało zaprzęgnąć zwierzęta, ponieważ były bardzo powolne, popychało się je kijami uzbrojonymi w gwoździe, które raniły grzbiety. Spływająca krew sprowadzała całe roje much i biedne zwierzęta musiały się ruszać, a stałe trzeba było pędzić i pędzić. W spiekocie słońca opadałyśmy z sił, ludzie i zwierzęta. Dopiero w południe przywożono nam polurkę i kawałek chleba. Godzina odpoczynku i znowu do zachodu, a słońce miało długą drogę do przebycia, późno skłaniało się ku zachodowi i czekał nas jeszcze marsz kilkukilometrowy przed spoczynkiem. Na każdym kroku byłyśmy narażone na wulgarne dowcipy, a nawet umizgi miejscowych chłopców. Zrozpaczone postanowiłyśmy zacząć chorować. Losia była pierwsza, u której termometr zaczął wskazywać wysoką temperaturę. Istniała obawa przed epidemią i władze natychmiast zarządziły powrót do posesiolka, do lekarza. Zostałyśmy ja z siostrą i Kazia, która po kilku dniach tak doskonale udala atak wyrostka robaczkowego, że nawet my, obie przekonane byłyśmy o jej chorobie. Dopiero gdy zaczęłyśmy



plakać, dała do zrozumienia mrugnięciem oczu, że jest zdrowa. Wśród jęków i rozpaczliwych skręceń z bólu nawet zaprzężone woły ruszyły z miejsca, a szczęśliwa Kazia dyskretnie machnęła ręką na pożegnanie. Zostałyśmy obie. Siostra po kilku dniach miała wypadek. Poniósł ją koń, na którym wiozła kosy do ostrzenia. Koń galopował poprzez stepy, a zębate kosy cięły jej ręce. Dopiero przy kuzni zdołano zatrzymać rannego konia i Marysię ociekającą krwią. Z obandażowanymi rękami do łokci, sterzającymi do góry, aby powstrzymać krwawienie odstawiono ją końmi tzn. jak najszybciej do posesiolka, a ja zrozpaczona zostałam sama. Nasza mama zemdlala, gdy dowieziono jej dziecko z okrwawionymi kikutami uniesionymi do góry, z któ-



rych sączyła się krew.

Zostałam sama wśród obcych. Przy kuźni pracował Piotruś, starszy kolega z gimnazjum. Starał się mi pomóc, zgłosił, że potrzebuje mnie przy ostrzeniu kos, ale nie udało się. Wysyłano mnie nadal daleko w step. Po całodzienniej pracy wracałam później niż inni, bo pieszo. Dziewczęta, Rosjanki, siadały na oklep na swoje woły i przy głośnym śpiewie, śmiechu i poszturchiwaniu bolesnym dla zwierząt były prędzej ode mnie. Nieraz Piotruś witał mnie przy kuźni, starał się mną opiekować, strzec przed obcymi. Dopiero, gdy już byłam u „cioci Kaci”, szedł na odpoczynek. Jeszcze po wielu latach Piotruś tkwi w moich wspomnieniach, jako nasz „polski chłopiec”, a w tamtych czasach to znaczyło tak wiele. Mimo zmęczenia, nie mogłam spać. Oprócz pluskiew i pcheł gryzło mnie coś na piersiach. Miałam zawieszony woreczek z paroma rublami, i okazało się że tam zadomowiły się odzieżowe wszy. Pierwszy raz zobaczyłam te zwierzątka o wielu nóżkach. Pouczona przez „ciocię Kacię” wyrzuciłam woreczek zawieszony przez mamę. O wschodzie słońca rozpoczęliśmy następny dzień pracy w spiekocie słońca i głodzie. Kosilki cięły piękne wysokie trawy z kwiatami, my dziewczęta poganiałyśmy woły przy zbieraniu siano w kopy. Gdy słońce schyliło się ku zachodowi, należało wracać bo szybko nastawał mrok. Dziewczęta rosyjskie postanowiły bym wracała na wołę, posadziły mnie na młodego byczka, który z miejsca mnie poniósł. Pędziłam jak na rumaku przez step. Kurczowo trzymałam się jego szyi. Byłam bezradna, jego chudy grzbiet sprawiał mi ból, dopiero, gdy uderzył łbem o ścinę stajni - stanął. Zsunęłam się obolała i zastraszona z jego grzbietu. Dowłóklam się do swego legowiska i płakałam. Przypomniałam sobie, że w dzieciństwie chorowałam na nerki, że zawsze szkodziło mi zimno. Powoli wstałam, by nie słyszała „ciocia Kacia” i poszłam w step, gdzie w nocy było zawsze bardzo zimno. Nie oddalałam się, pamiętając o wilkach. Leżałam na chłodnej ziemi obcej i myślami byłam w domu rodzinnym przy mamie. Było mi zimno i straszno, bo wilki mogły być blisko. Gdy nastął następny dzień, a w przerwie południowej usnęłam, obudzono mnie do pracy, byłam cała opuchnięta, nawet oczy nie mogłam otworzyć. Moje nerki nie zawiodły. Wieziono mnie do posiadka wołami 80 kilometrów. W spiekocie słońca, ale najważniejsze było to, że wieziono mnie do mamy. Znalazłam się w „balmicy”, leżałam opuchnięta jak kłoda, mama siedziała przy moim łóżku i płakała. To było prawdziwe łóżko z prześcieradłem, poduszką i kocem. Chwilami miałam złudzenie, że jestem w domu. Po kilku dniach stawałam się podobna do siebie, niestety powracające zdrowie naraziło mnie znowu na wygnanie od mamy.

Obok mnie leżała starszka, stale spała.



Po czepku i kaftaniku poznałam, że to musi być Polką, bo moja babcia nosiła podobne. Była to pani Suzin, liczyła sobie 100 lat. Została wywieziona z Wileńszczyzny w podobnych okolicznościach jak my. Była samotna, bez rodziny. Twierdziła, że tylko dlatego ją wywieźli, gdyż Suzin, jej pradziad, był przyjacielem Mickiewicza i walczył o niepodległość Polski. Staruszka najczęściej spała. Gdy już mogłam wstawać, opiekowałam się nią. Wówczas narysowałam panią Suzin podczas jej snu. Z wdzięcznością podpisała mój rysunek twierdząc, że teraz wie jak będzie wyglądała po śmierci. Byłam przy tym jak zabierano panią Suzin na wóz zaprzężony w parę wołów, podobno do domu starców. Stałam w oknie, gdy nosze ze staruszką umieszczano na wozie. Plakałam żegnając panią Suzin. Nie widziała mnie. Sądzę, że było jej obojętne, że to był jej ostatni etap podróży w samotnym wygnaniu za Polskę. Załączam mój rysunek z jej podpisem.

#### IV

W pełni upalnego lata wypisano mnie z „bálnicy”. Byłam bardzo osłabiona i nieodporna na wszelkie choroby. Zdarzyło się że skaleczony palec u ręki przerodził się w olbrzymią infekcję; węzły chłonne pod pachą tak się powiększyły, że rękę musiałam trzymać daleko od siebie na temblaku. Groziła amputacja palca, ale skończyło się zdjęciem paznokcia, który do dziś rośnie zdeformowany. Wszyscy mi zazdrościli, bo nie musiałam iść do pracy. Krótko to trwało i jeszcze z obandażowaną ręką znalazłam się na zniwach. Znowu z siostrą byliśmy daleko od mamy. Lany pszenicy ciągnęły się kilkanaście kilometrów w stepie i żeby nie tracić czasu na dojazdy, co sześć kilometrów znajdowały się tzw. „stany”, gdzie ludzie nocowali i gdzie gotowało się strawę. Dzień rozpoczynał się o trzeciej nad ranem, a kończył o zmroku. Nie tylko głód nam dokuczał, ale i brak snu. Piszę o lanach pszenicy, ale na bezkresnych stepach rosło zboże nigdzie indziej nie spotykane. Były to ubogie kłosa sięgające do 30 - 40 cm. Od wydeptanej ścieżki długość zagonów w prawo i w lewo sięgała do dwóch kilometrów. Najczęściej całe pola były wypalone słońcem, ziarno po prostu nie weszło lub nie było zasiane w pośpiechu przez robotników, by wyrobić normę i otrzymać tak upragniony kawałek chleba. Pomędzy zbożem rosły chwasty, które musieliśmy wyrwać zanim dojrzały kłosa. Gdy nadchodził czas zniw kolchoz otrzymywał w przydziale kilka kombajnów z wyuczonymi ludźmi, którzy bardzo się cenili jako wykwalifikowani majstrowie, ale z tego wszystkiego było mało pomocy. Maszyny z wielkim hałasem wyruszały w pole, ale często się psuły w myśl powiedzenia „prz - dawaj wirowcu”, a zaprzęg wołów ciągnął wielką technikę do remontu. Bardzo dbano o tę wielką technikę, dostarczano wodę do chłodzenia silników. O ludzi nikt nie dbał, przesładowały nas straszne upały i brak wody. Gdy napotkaliśmy beczki po ropie napędowej do traktorów, zdmuchiwało się wówczas wierzchnią warstwę smaru i chociaż w części zaspokajaliśmy



*Traktorzystka*

pragnienie, pijąc ciepłą ciecz, którą ciężko było nazwać wodą. Mimo to, nie było ostrych zachorowań. My dzieci dość dobrze znosiłyśmy te nieludzkie warunki. Nasi chłopcy od razu postarali się o pracę przy traktorach, bo otrzymywali nawet pół kg chleba i pół litra mleka odtłuszczonego, a to był cenny skarb dla wygłodniałych. Czasami nie poznawałyśmy, my, dziewczęta swoich kolegów. Piotrusie, Zygmusie, Zbyszkowie stawali się brudasami, chyba celowo, wysmarowani niesamowicie. Były trudności językowe, ale oni natychmiast nauczyli się kląć i ziorzeczyć po rosyjsku. Dziewczęta zakrzyczane, zahukane; często modliłyśmy się w ciężkich dla nas chwilach; oni krzykiem zdobywali sobie należną pozycję w pracy a nawet w stołówce. Potrafili kilka razy stawać w kolejce po zupę tzw. „lepszą”. I nie raz było widać ich wybrzuszone żołądki, co świadczyło, że niejedną porcję wodnistej zupy połknęli, ale wyklócali się o jeszcze. Byli stale głodni. Zaraz po-



*Jeden z moich rysunków z tego okresu...*

tem leżeli gdzie kto mógł, i trawili te swoje wywalczone porcje. Brygadier musiał bardzo umiejętnie zachęcać i poganiać naszych chłopców do pracy, bo inaczej wszystkie traktory nadawały się tylko do remontu. Dopiero po latach dowiedzieliśmy się dlaczego te pojazdy tak często się psuły. My, dziewczęta, na swój sposób broniliśmy się. Z nas też nie było wielkiego pożytku. Byłyśmy bardzo osamotnione, dopiero gdy przybył następny transport zesłańców – Moldawian, Rumunów, Bułgarów, poczuliśmy się trochę pewniejsze, bo byli to ludzie bardzo religijni i tak nieszczęśliwi jak my. Gdy znaleźli się w bezkresnych stepach, swoją rozpacz wyrazali w tańcu i smętnym śpiewie. Głodni, tworzyli wielkie koło i trzymając się ramionami za szyje, zawodzili tęskne melodie, kiwając się w obie strony. Patrzyłyśmy na nich i płakałyśmy razem z nimi i tylko step słyszał nasze zale i widział naszą niedolę. Gdy znalazłam się „na staniu” przydzielono mi wola i wóz drabiniasty. Miałam za zadanie przetrzącać na ten wóz słomę pozostawioną na polach i dowozić do miejsc, gdzie zwożono ją w olbrzymie kopy. Wola, jak zwykle, należało popędzać kijem uzbrojonym w gwóźdź i kalecząc jego grzbiet przypominać mu o obowiązku. Na moje nieszczęście nie tylko ja, zaspana, ledwie się ruszałam, ale i mój wół nie był zdolny do jakiegokolwiek ruchu, tym bardziej, że nie mogłam się zdobyć na kaleczenie jego grzbietu. Gdy tylko znalazłam się poza zasięgiem oczu brygadiera, mój wół stawał w stepie, na pewno sobie drzemał, a ja, wciśnięta w drabiniasty wóz słodko zasypiałam. Dopiero ostre słońce przywoływało mnie do rzeczywistości, ale mój wół kompletnie mnie lekceważył. Sielanka trwała kilka dni, aż wykryto moją dywersję. Chyba pierwszy raz w życiu byłam tak gromiona, jak wówczas. Uciekłam w kąt i płakałam, groził mi sąd i więzienie. Nie było z nas, Polaków – wielkiego pożytku. Moldawianie, Rumuni, Bułgarzy poddawali się cicho i poddańczo, my buntowaliśmy się. Chyba od pokoleń posiadaliśmy dziedziczne umiłowanie do wolności. Postanowiłam, że ucieknę, pomimo że do posesiłka, do mamy, było dwanaście kilometrów bezkresnego stepu.

Zostałam znowu sama, co było trudne, bo jako dziewczęta stałe byłyśmy narażone na niebezpieczeństwo. Pamiętam, gdy po pracy szłam do baraku by odpocząć, po drodze czyhało na mnie niebezpieczeństwo. Oto w przedsionku zaatakował mnie wstrętny garbus – Rosjanin, który widocznie od dawna miał mnie na uwadze. Znalazłam się w jego ramionach, w ciemnym kącie, i chyba nikt by mnie nie usłyszał. Naraz znalazł się nasz chłopak, Zygmus, syn burmistrza naszego miasta. Uwolnił mnie od intruza, sprawił mu porządne lanie, a mnie kazał iść spać. Zygmuś, kochałam cię wówczas całym swoim dziewczęcym sercem, ale ty byłeś zawsze taki wysmarowany przy traktorach, a potem zniknąłeś – poszedłeś do Wojska Polskiego – gdzie teraz jesteś Zygmuśiu Ziolkowski?



Jak już wspomniałam, my, młodzież polska, kochaliśmy poczucie wolności. Byliśmy znani ze swych ucieczek od pracy, z pola. Chłopcy byli sprytniejsi, nie raz poza barakami czepiali się wozów, dowożących chleb i wodę. Gorzej było z dziewczętami. I tym razem postanowiłam uciec do mamy. Po pracy, zachowując środki ostrożności, by nie spostrzegli mnie naczelnicy, znalazłam się poza barakami. Już mrok zapadał, a przede mną dwunastokilometrowy marsz. Na plecach miałam koldrę, a raczej jej strzępy, ale musiałam ją zabrać, bo to była resztką naszej pościeli. Szłam samotnie wydeptaną, ścieżką mimo braku drogowskazów nie było obawy zabłądzenia. Była to jedyna droga prowadząca do posesji, dookoła niezmierny step bez śladów życia. Choć przez chwilę miałam poczucie wolności, aż spotkałam jeźdźca na koniu. Z daleka na horyzoncie spostrzegłam jego sylwetkę. Nie miało sensu się kryć bo i on mnie widział. Zbliżył się powoli ku mnie azjata, Kirgiz, bacznie przyglądał się mi swoimi wąskimi oczami. Serce mi zamrtało ze strachu, bardziej schyliłam się, gdy przechodził obok. Stał na chwilę, a potem przejechał obok milcząc. Jakże dziękowałam wówczas Matce Najświętszej za opiekę nade mną. Było już zupełnie ciemno, gdy dochodziłam do posesji. Po drodze był cmentarz i tam spotkałam wilka. Był bardzo zajęty rozgrzebywaniem mogiły, widocznie nie byłam godna jego uwagi, a może urosłam w jego oczach z tą koldrą na plecach, a szłam ledwie włócząc nogami.

Była noc, gdy zapukałam do naszej matki, to dobrze, bo ciemność chroniła mnie przed kolechożnikami, że jestem u mamy. Były powitania, łyżki, mycie, które było bardzo utrudnione, a to z uwagi na brak mydła. Do mycia głowy wsypywano się trochę popiołu, by woda nie była taka twarda i zmywała brud.

Już rano rozpoczęły się poszukiwania uciekinierów. Jeszcze w tym samym dniu znalazłam się znowu daleko od mamy. Za karę przydzielili mnie do orania. Moja praca polegała na tym, że musiałam prowadzić za róg wielkiego woła wzdłuż bruzd. Pług ciągnięty przez zwierzę kierowany był przez robotnika, również zesłańca, rodem z Turcji. Wół był ogromny, stary, bez jednego oka i bez jednego rogu. Musiałam prowadzić go, tak ostrożnie, by nie nastąpił na moją nogę. Bryły ziemi twarde, gliniaste, raniły bosa stopy, a jeszcze Turek całymi godzinami usiłował porozumieć się ze mną, że koniecznie muszę go poznać z polską dziewczyną.

*Nasi nauczyciele ze szkoły ośmioklasowej w postaci Rozdolnyj 27*



*Pani Klara - nauczycielka, pochodziła z Baku ale była Polką.*



*Jeden z nauczycieli.*



*Dyrektor*



*Nauczyciel - z pochodzenia Niemiec*



*Jeden z nauczycieli.*

bo Polki bardzo mu się podobają i chce się zenić. Jak to dobrze, że ja nie wyglądałam na szesnaście lat i miał mnie za dziecko. Po tygodniowym oraniu syberyjskiego stepu znowu była ucieczka i znowu, w następnym dniu, powrót. Nasze umiłowanie wolności bardzo dokuczalo miejscowym władzom. Powoli zbliżała się jesień, coraz bardziej oddalał się od nas powrót do Polski. Nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, jakie mrozy nas czekają. Miejscowi zesłańcy opowiadali o długich i groźnych zimach, należało zabezpieczyć się w opał. Palilo się tzw. „kiziakiem”. Jednym z głównych składników był świeży nawóz krowi, jeszcze mokry. Kolchozowych krow było niewiele, ale gdy się szło śladem pasącego się bydła w stepie, można było zbierać do wiadra jeszcze parujące, świeże odchody. Należało być sprytnym, bo było



wielu potrzebujących. Gdy jakaś krowa podniosła ogon, to znaczyło, że zaraz spadnie na ziemię produkt, na który polujemy. Na przydział słomy należało mieć pozwolenie. W wykopanym dole mieszało się powyższe składniki, deptało je nogami, żeby gatunkowo ulepszyć i tworzyło się ręcznie placki, które wysuszone na słońcu paliły się dając trochę ciepła i służąc do gotowania strawy. W czasie zimy to było wielkie bogactwo. Posiadaliśmy trochę opału wytworzonego przez nas, ale to było bardzo niewiele. Nie starczyłoby na czas zimy. W wielkie

mrozy, zawieje, wypatrywaliśmy Kirgizów, którzy bardzo chętnie odwiedzali nas ze swymi małymi saniami z „kiziakiem”, zaprzęzonymi w wielbłądy. Kwitł handel zamienny. Azjaci stawali się posiadaczami naszej pościeli, naszego ubrania, niejednokrotnie zegarki i pierścionki oddawało się za „kiziak”, byle przetrwać. To wszystko było jeszcze przed nami. Mieliliśmy nadzieję, że za pracę dostaniemy jakieś wynagrodzenie. Tymczasem, w końcowym rachunku, po podliczeniu naszego wyżywienia, usłyszeliśmy: „winował 100 rublej” - musieliśmy poznać bezsens gospodarki ludzkiej, a raczej nieludzkiej wegetacji.

Pod koniec roku 40-go matki postanowiły wysłać dzieci do lat osiemnastu do szkoły, podobno była taka możliwość, a to uchroni nas od pracy w zimie, tym bardziej, że nie mieliśmy odpowiednich ubrań w czasie mrozów. W tymże poseszku mieściła się mała, ośmioklasowa szkoła. Nas przydzielono do niższych klas ze względu na trudności językowe. Na ogół nie odnosiliśmy się poważnie do nauki, bo przecież na pewno już na wiosnę wracamy do Polski, tym bardziej, że wciąż otrzymywaliśmy z kraju listy pełne nadziei. Ja stałam się sławna, bo w czasie lekcji rysowałam nauczycieli, każdy chciał mieć rysunek ze swoją podobizną. Pewnego dnia zawitała inspekcja szkolna. W klasie zjawiła się kobieta z wielkim nosem, który spodobał mi się jako coś oryginalnego. Gdy zobaczyła swój portret, była zachwycona. Wezwała mnie do kancelarii, oferowano mi wobec całej komisji - szkołę, utrzymanie na koszt państwa, zapewnienie bytu na czas nauki z perspektywą dla moich zdolności. W zamian żądano, ich zdaniem niewiele - mam stanąć w szeregach konsomolu i nie przyznawać się do swojego pochodzenia. Zdobyłam się na wielkie zuchwalstwo oznajmiając, że jestem Polką, wręcz krzyczałam, że nigdy nie zdradzę swojej Ojczyzny.

Początkowo tłumaczono mi delikatnie, a potem wyrzucono za drzwi i usunięto ze

szkoły jako „wrodziela” (wroga).

Przyszła ciężka zima, której jeszcze nie znaliśmy. Mrozy dochodziły do 45 stopni. Straszne zamiecie zasypywały nasze ziemianki i ludzie nawzajem odgrzebywali dojścia do drzwi. Do pracy nie mieliśmy odpowiedniej odzieży ani obuwia. Codziennie wychodziło się na zewnątrz i wypatrywało, z którego komina dymi, by przynieść trochę zaru i ugotować ciepłą strawę. Byliśmy w takim kraju gdzie nawet zapalek nie było. Nasze matki zamieniały ubranie; pościel nie tylko na opał, ale i na zboże, które przedtem należało zemleć, zanim ugotowało się „prazucie” – na gotującą wodę sypało się mąkę i jedliśmy jako kaszę. Nie mieliśmy swoich zaren – to były dwa płaskie kamienie, które trzeba było obracać, by zemleć garsć zboża. Jakże długo to trwało, by uzyskać trochę mąki, którą jadło się z otrębami. Za wypożyczenie zaren trzeba było płacić, czas odgrywał ważną rolę, trzeba było prędkiej, a kamienie były strasznie ciężkie. A potem siedzieliśmy na narach, najczęściej po ciemku, bo należało oszczędzać naftę na ogarek, a małe okienka najczęściej zasypywał śnieg. Mimo wszystko nadzieja nas nie opuszczała. Spotykaliśmy się grupkami, były nocne rozmowy Polaków, były modlitwy, były śpiewy z gitarą. Byłam bardzo przywiązana do mojej gitary. To była powierniczka smutku i tęsknoty i mojej radości, bo często grałam swoje melodie, wypracowane przeze mnie, a chętnie słuchane na spotkaniach. Pływały smutne chwile, godziny, tygodnie, miesiące. Nadszedł rok 1941, zbliżała się wiosna. Z kraju pisali, że sikorki przylecą, że trzeba mieć nadzieję. Bardzo smutne listy otrzymywałam z okolic Archangielska od Danusi Górskiej, która z rodzicami została wywieziona w lutym 40-go roku jako osadnica, legionista Józefa Piłsudskiego. Nasze matki często załamywały się, bo wróg nadal gnębił. Mieszkała z nami pani Toberowa zawsze to razniej i taniej przy jednym ogniu. Była to kobieta wykształcona, znająca parę języków, a takich prześladowano. Została aresztowana, a jej dwunastoletni syn został z nami. Nasza rodzina powiększyła się, było nas teraz pięcioro.

Z nadejściem wiosny przyszły choroby, wybuchła epidemia tyfusu. Z dwunastoosobowej rodziny, która mieszkała w sąsiedztwie została tylko jedna osoba. Zawisła groźba śmierci. Ludzie wyczerpani zaczęli tracić nadzieję. Na szczęście mieliśmy mocną wiarę. Pani Ochnikowa organizowała wspólne modlitwy „Serdeczna Matko”, „Boże coś Polskę” grzmiało w naszych ziemiankach. Wolaliśmy „Pod Twoją obronę uciekamy się Boża Rodzicielko”. A miejscowi ludzie dziwili się „To aż tak kochacie swego Boga, Ojczyznę?”, przecież jesteście skazani na zatracenie i



ten krzyż wam nie pomógł". Przepędzaliśmy tych, którzy się śmiali z naszych obrazków i krzyży. Musieliśmy trwać. Zbliżała się pierwsza rocznica naszego wygnania. Załączam zdjęcie, które udało nam się zrobić na pamiątkę w pierwszą rocznicę zesłania.



*W rocznicę zsyłki do Kazachstanu. Dn. 29.04.1941 r.  
Mama z kotem, obok brat Tadzik, młodsza jestem ja. (Obok pani Toberowa z synem)*



Przyszło lato roku 1941-go. Słońce witalismy z tęsknotą i z radością. Po wielkich śniegach i mrozach, po długich nocach i krótkich dniach pełnych chłodów, syberyjskich „buranów”, słońce było naszą radością, ulgą i znowu nadzieją. Właśnie ta nadzieja, wiara i modlitwa dawała nam moc przetrwania, a było coraz ciężiej. Z nastaniem mrozów zamieszkała z nami pani Toberowa z dwunastoletnim synem. W małej izdebce było ciasno, ale taniej przy wspólnym ognisku. Niedługo cieszyliśmy się razem, bo rozpoczęły się aresztowania i panią Toberową zabrano jako jedną z pierwszych podejrzanych. Była to osoba wykształcona, władająca kilkoma językami, a wiadomo było powszechnie, że nie należy być za bardzo myślącym, bo Stalin myśli za wszystkich. Ten, co wykazuje jakąś wiedzę to wróg, – wróg klasy robotniczej, wróg komunizmu, wróg Stalina, a tego nie wolno tolerować. Ludzie myślący, to ludzie chorzy, wymagający odosobnienia i leczenia psychiatrycznego. Zabrano panią Toberową, pozostał z nami jej dwunastoletni syn. Wprawdzie „władze” bardzo chętnie zabratyby chłopca do „dzietdomu”, ale mama nie dała, a zatem nasza rodzina powiększyła się, było nas teraz pięcioro.

Bardzo odczuwałam rozłąkę z naszą współlokatorką, bo byłyśmy przyjaciółkami. Często zabierała mnie na spacer, pokazywała mi małą gwiazdkę przy wielkiej Niedźwiedzicy. Stałam wówczas obok cichurka, a ona, unosząc głowę, pograżała się we wspomnieniach, bo była to gwiazdka jej i jej męża. W dramatycznej chwili umówili się, że ta daleka gwiazda będzie ich łącznikiem w czasie rozstania.

Jak już wspominałam było nas wówczas pięcioro. Mama chora z ostrą przepukliną, nie mogła pracować w polu, dwaj mali chłopcy i ja z siostrą (16 i 17 lat). My dziewczęta musiałyśmy iść do pracy i znówuż daleko od mamy. Lato roku 1941-go byłoby podobne do poprzedniego gdyby nie wojna. Tym bardziej nawet dzieci szły w pole. W posiołku pozostawali starzy i matki z małymi dziećmi. Młodzi odchodzili na front walczyć za „Rodim”. Ich rodzice byli przed laty traktowani jako wrogowie, wygnani z ojczyzny, zsyłani na dzikie stepy, gdzie musieli budować ziemianki własnymi rękoma, ginąc z głodu w nieludzkich warunkach. Wychowywali swe dzieci często sami nie dojadając, by zapewnić im minimum pożywienia do życia. Teraz zmuszeni byli żegnać swoich synów, bo „ojczyzna” w potrzebie. Młodzież śpiewała, harmonia przygrywała na pożegnanie, matki płaczące biegły za wozami i wszystko było tak jak powinno być, tylko dziadkowie ponuro patrzyli i życzyli sobie spotkać tego wroga, ciekawi, czy potraktowałby ich gorzej od własnej ojczyzny, w obronę której idą teraz ich wnuki.

My byłyśmy na uboczu, od nas żądano wzmożonej pracy w polu, zapowiadał się dość dobry urodzaj pszenicy. Opowiadano, że bywają obłitsze żniwa co siedem lat i właśnie ten szczęśliwy rok przypadł na czas naszego wygnania. Ludzie cieszyli się, że zboże obrodziło, nawet traktory nieczęsto się psuły i pomimo braku siły roboczej, żniwa trwały. Niewysokie łany zboż padły ścięte. Starzy ludzie utyskiwali, że wiele kłosów jest nieczystych zwłaszcza na końcach zagonów. Niejednokrotnie kobiety z małymi dziećmi wybiegały w pole, by pozbiierać ziarno pozostawione na ziemi, lecz zaraz były gromione z ciężkim zarzutem kradzieży mienia państwowego. Zboże pozostało w ziemi, zmarnowane. Należało je wtedy zaorać w myśl komunistycznej gospodarki jako państwowe. Przeprowadzane były wówczas pogadanki do tępego ludu, że należy wierzyć władzom i wysokiej technice rolniczej, że się nie marnuje trudu narodu: „Do przodu towarzysze, do komunizmu”. A my? Co my tam robiliśmy? My, rodziny polskie, wydarte spod strzech, gdzie każde ziarno w chlebie było święte. Słuchaliśmy gorących przemówień, zaklęć ideologii, że wróg czyha, że kto nie pracuje to do „trumny”. I pracowaliśmy kto

jak potrafił. Nasze matki bały się, by je nie oddzielić od dzieci, by było włożyć coś do garnka i nakarmić, by przetrwać. My, młodzież, a zwłaszcza chłopcy bagatelizowaliśmy problemy kolektywne. Ucieczki z pola były coraz częstsze, brygadierzy zmuszani byli przez nas do dostarczania wody do picia, męczyły nas upały. Piliśmy przeważnie straszliwie brudną wodę w beczkach ze smarem, przeznaczoną do traktorów, co bardziej potęgowało pragnienie. Niejednokrotnie spełniano żądania naszych chłopców, bo inaczej wszystkie traktory były zepsute i nadawały się do remontu, a brygadierzy byli odpowiedzialni za przerwy w pracy. Pamiętam, jak wykryto aferę kradzieży jaj. Niedaleko w stepie założono hodowlę kur. Teren był ogrodzony drutem kolczastym, pod silnym nadzorem, ponieważ kury i jaja przeznaczone były dla naczelników. Naraz kury przestały znosić jajka. Problem był poważny, bo ziarno dostawały. Co raz rozlegało się donośne gdakanie, a jaj nie było. Wszyscy byli zaniepokojeni, tylko nasi chłopcy mieli doskonałe humory. Nawet zaproponowali nam, dziewczętom, że nagrzają wodę w „hani” (mała lepianka przeznaczona na łazienkę) – szalas z kotłem wody. Jakież było nasze zdziwienie, gdy zamiast nagrzanej wody, której było brak, znalazłyśmy w kotle ugotowane jajka. To była niezapomniana uczta, bo chłopcy nawet o soli pamiętali. Nicstety, wkrótce przestępstwo zostało wykryte. Podkop, jaki chłopcy zrobili prowadził prosto do kurnika. Naczelnik musiał umorzyć sprawę, gdyż z uwagi na dużą liczbę przestępców, istniała groźba przerwy w pracy, a traktory musiały wyjść w pole. Koledzy nasi, aby uczyć zwycięstwo, zdobyli gdzieś patefon i jedną płytę. Zaprosili nas do ukrytej szopy. Gdy wchodząc usłyszałam tango „W ten świat płynię okręt, prując grzebień fal” dostałam histerycznego płaczu i popsułam nastroj. To było ponad moje siły.

Zniwa trwały, pracowaliśmy ciężko w spiekocie słońca. W pocie całego ciała. Nawet nie dokuczał mocno głód, bo czterysta gram chleba przy zupach (łapszach) z hiedą wystarczało, tylko wody do picia było brak. Zresztą byliśmy tak zmęczeni, że nawet ucieczki do mamy zaniechaliśmy, bo przejście pieszo kilkunastu kilometrów było ponad siły, a na drugi dzień dostarczono by nas jak zwykle z powrotem i matki by płakały słysząc groźbę sądu nad nami.

Któregoś dnia kilka wozów zaprzęgniętych w woty przeznaczono na transport do pobliskiego lagru. Do jednego z wozów wyznaczono mnie jako woźnicę. Nawet ucieszyłam się, bo tak mało miałam sił do pracy przy „składowaniu” słomy w duże kopce. Jak zwykle pobudka o trzeciej nad ranem, trochę chleba do woreczka i w drogę.

Ruszyliśmy podobni do karawany na pustyni: woły stapały nie spiesząc się, a my kiwaliśmy się, siedząc na wozach. Pamiętam są syberyjskie jutrenki. Zanim wszędzie słońce, niebo mieni się kolorami z czterech stron świata różowo, fioletowo, niebiesko, pomarańczowo. Kula słońca poprzedzona jest czerwienią, wylaniając się przybiera kolor pomarańczowy. U nas się mówi, że nastaje cisza przed wschodem, nawet ptaki nie śpiewają w oczekiwaniu na słońce. Tam, w stepie jest zawsze cisza, nie słychać świergotu ptaków, bo ich nie ma, ale gdy widziałam to piękno przyrody, moja dusza śpiewała. Było mi przez chwilę tak lekko i beztrosko. Czy modliłam się w tamtych chwilach? Raczej nie. Może chwaliłam Pana Boga w inny sposób? Może moje naście lat wówczas budziło się do życia i chwaliło piękno. Przecież tam gdzie jest piękno, musi być Bóg. Powoli wychylało się słońce nad ziemią pustą, bezkresną i szarą.

Krótko po wschodzie słońca spotkaliśmy kolumnę ludzi wynędzniałych w łachmanach. Byli prowadzeni przez uzbrojonych wartowników. Przechodzili koło naszych wozów. Niektórzy odważniejsi sięgali wychudłymi rękoma po zboże, zagarniali dłońmi i łapczywie zjadali, ale nie wszyscy zdążyli, uderzenia kolbami przywoływały ich do karności. Nigdy nie zapomnę ich wygłodniałych spojrzeń. Około południa przed nami ukazało się wysokie ogrodzenie. Cztery wieże obserwacyjne upewniły nas że dojechalismy do celu. Przed wysokim murem ujrzeliśmy rów wypełniony wodą nie było przejścia. Po dokładnym obejrzeniu nas przez okienko wieżyczki, spuszczone pomost nad fosą, otworzyła się brama i wjechaliśmy za ogrodzenie. Natychmiast przejście zostało zamknięte, pomost podniesiony. Po obu

stronach ciągnęły się niskie baraki z małymi okienkami. Przed nimi na ziemi siedziały kobiety w różnym wieku. W grupkach jedna drugiej iskały we włosach, co raz wyjmując wszy. Te siedzące samotnie miały spuszczone głowy i ręce zwisające wzdłuż ciała. Wszystkie były jednakowo ubrane w szare, zgrzebne suknie, prawie wszystkie miały siwe włosy, a starszki zupełnie białe, jaśniejące w słońcu. Nieopodal bawilo się kilkoro dzieci i tylko one trochę hałasowały. Kobiety milczały, patrzyły na nas ogromnymi, podsińczonymi oczyma. Te młodsze usiłowały z nami rozmawiać, ale zaraz pojawiał się strażnik. Wylądowaliśmy zboże, trochę czekaliśmy, ale nie wolno było zbliżyć się do więźniarek. Wyjechawszy po za losę z ulgą pozegnaliśmy ten straszny, zamknięty, katorżniczy świat.

Wróciliśmy późnym wieczorem, gdy weszłam do baraku wszyscy już spali, tylko w rogu siedziała kobieta na narach i kiwała się w obie strony. W półmroku zauważyłam, że był to ktoś nowy. Miała długie jasne włosy spadające na ramiona.

Dopiero rano dowiedziałam się że to Estonka z nowego transportu. Była w ciąży, stała milczała, nie знаła języka. Jej samotność była rozpaczliwa. Nasze panie zajęły się młodą dziewczyną, gdy urodziła postarały się, by miała w co zawinąć swoje dziecko. Mówiła trochę po polsku, widziałam, że kiedyś nawet się uśmiechała. Taką ją sobie zapamiętałam.

Zniewą zbliżały się ku końcowi. Pozwolono nam na krótki odwiedzić posesolek i spotkać się z matką. Widzieliśmy, że znówu zaludniło się nasze miejsce zesłania. Przywożono coraz to nowe transporty ludzi z Mołdawii i Rumunii. Spotkaliśmy Bułgarów i Turków. Zsyłano również obywateli sowieckich z Leningradu i z Baku. Z miast przywożono inteligencję rosyjską pochodzenia niemieckiego i polskiego. Ojcowie i mężowie przelewali krew na froncie, a rodziny ich o podejrzanym pochodzeniu były skazywane na daleką zsyłkę. Często zaprzyjaźnialiśmy się z zesłańcami polakami, pomimo, że Polski właściwie nie znali. Pamiętam rodzinę pani Koneckiej - mówili pięknym staropolskim językiem. Mieszkali w Baku, córki mąż, jako oficer na froncie, a Klara, takie miała imię, dzieliła nasz los z matką i bratem. Była nauczycielką. Często nas odwiedzała ze swoją przyjaciółką z Leningradu. Ta z kolei pochodzenia niemieckiego była inżynierem, jej mąż oficer - na froncie. Bardzo ołoganka, pięknie śpiewała, zawsze uśmiechnięta. Powiesiła się na kłamce od drzwi. Bardzo przeżyliśmy jej śmierć. Zanim to nastąpiło, często spędzaliśmy wieczory, śpiewaliśmy przy akompaniamencie mojej gitary. Był jeszcze brat Klary, Edzio nastolatek, który dosłownie zwańował na punkcie polskości. Jako kolega mojego brata, stał u nas przebywał, wykrzykiwał, że jest Polakiem i razem z nami wróci do Polski. Żyliśmy we wspólnocie, razem płakaliśmy, razem śpiewaliśmy, razem modliliśmy się. Nam młodym było łatwiej niż naszym matkom. One prawie zawsze płakały, my potrafiliśmy się śmiać.

Jesień nie przyniosła nam nic nowego. Mimo względnego urodzaju, po rozliczeniu okazało się, że jesteśmy zadłużeni, bo przecież dawano nam wyżywienie za pracę od świtu do nocy i nie potrafiliśmy więcej zarobić. Słynne było powiedzenie, jakim nas kwitowano: „winowat sto rublej”. Zbliżała się druga sroga zima, znówu poszły na zamianę resztki pościeli i odzieży. Gdy nadeszły początki zimy zapadła decyzja, że należy sprzedać zegarek (budzik) - chowało się go na czarną godzinę. Kilka pań wyruszyło do Akmołeńska, oddalonego od posesiołki trzydzieści kilometrów. Wraz z nimi poszła siostra, która, pomimo że młodsza była silniejsza. Tam miały sprzedać swoje rzeczy i u znajomych rodaków przenoćować, aby wrócić w następnym dniu. Nazajutrz niespodziewanie zaczął wiać wiatr ze śniegiem, co zwiastowało „hurian” i wkrótce rozpoczęło się piekło śnieżne. Siedzieliśmy w niepokoju, modliliśmy się, by nic straszniejszego się nie stało. Zdawaliśmy sobie sprawę, że mogą zablądzić, zamarznąć, a były jeszcze wilki.

W taki czas nikt nie wychodzi z domu, bo na metr przed sobą nic nie widać, a zamarzający śnieg aż kłuje i obczwładnia. Już ciemno za okienkiem, a naszej Marysi nie widać, ledwie powstrzymywalismy się od płaczu. Naraz pukanie do drzwi. W progu stoi siostra w sztywnej zamarznętej odzieży, wokół twarzy szron, tylko oczy świeciły się. Wiel-

ka radość, wszyscy szczęśliwie wrócili, jesteśmy razem. Chwała Ci Boże, a i kolacje jest z czego ugotować. Było nam wesoło, bo zaraz jutro dopilnujemy Kirgiza z wielbłądem, kupimy trochę „kiziaku”, będziemy mieli ogień, ugotujemy „prazuchę” - nie będziemy głodni, a jesteśmy dużą pięciorosobową rodziną. Każda chwila radości była na wagę złota, tylko w nocy często słyszałam płacz mojej mamy. Sły srogie mrozy, nie mieliśmy zapasów żywności, nie było odzieży, powyrastaliśmy ze swoich szkolnych paltocików, z butów, zresztą nasze obuwie nie wchodziło w rachubę, należało mieć walonki, chociaż jedną parę na rodzinę, aby mieć możliwość wyjść rano po żar, by rozniecić ogień pod kuchnią. Zapalek nie było, należało wypatrzyć z którego komina się dymi i z własnym opałem iść po ogień. Niejednokrotnie trzeba było najpierw odkopywać drzwi i tu sąsiedzi przychodzili z pomocą. Było coraz trudniej i nasze matki płakały. Trwała wojna, na froncie kłęski, coraz więcej ludzi szło na front, brak rąk do pracy, większe trudności w zaopatrzeniu, a my musieliśmy wysłuchiwać, że nie powinnimy jeść ich chleba. Coraz trudniej było zamienić odzież na zboże, a potem ziarno zemiać w żarnach, jakże ciężko było obracać kamienie, by garskę zboża zamienić na mąkę. Dziękowaliśmy Bogu, że mamy co jeść.

W czas srogiej zimy praca obowiązywała. Stałe należało odsńiegać siedziby ludzkie, by mieć dostęp do ognia, wypatrzonego z pobliskich ziemianek. Wodę dostarczał nam śnieg. Byliśmy odcięci od świata, skąpe wiadomości dochodziły do nas tylko poprzez władze i mimo tego nie były wesołe. Klęska walk na froncie niewiarygodnie przybliżała się ku nam, ale nie wolno było o tym mówić. Nadchodziło Boże Narodzenie, noce były coraz dłuższe i coraz dłuższe były Polaków rozmowy. Nasi chłopcy jak zwykle stanęli na wysokości zadania. Szopka była wykonana ze skrawków papieru i szmatek, nawet oświetlona latarką. Chodzili kolednicy z pieśnią „Wśród nocnej ciszy głos się rozchodzi, wstańcie Polacy, NKWD nadchodzi”, ale było również nasze pobożne „Bóg się rodzi”. Najważniejsze tu, że trzymaliśmy się razem. Nie pamiętam w jaki sposób doszła do nas, że z wiosną sikorki do nas przylecą...

## VI

Trwała zima 1942-go roku. Minęło smutno Boże Narodzenie. Listy od mojej koleżanki Danusi Górskiej były coraz smutniejsze. Była wywieziona z rodzicami przed nami, w lutym roku 40-go. Ich szlak, dola wygnania osadników, byłych legionistów Marszałka Piłsudskiego, to Archangielsk. Pisała o nieludzkich warunkach, wśród wiecznego śniegu, o pracy w lasach, o ciężkiej chorobie swego brata. Wspominałam jej roześmianą buzię i nie mogłam sobie wyobrazić, że po tych różowych ongiś policzkach spływały łzy. My też opłakiwaliśmy swój los. Naszym mamom coraz ciężiej było coś wyszukać z pozostałego dobytku, by zamienić na trochę ziarna, by garścią mąki zaspokoić głód. Żadnych przydziałów chleba nie było. Dopiero z nastaniem wiosny i pracy w polu otrzymywaliśmy po czterysta gram ciężkiego gliniastego, rozsypującego się „pieczywa”.

Nadszedł czas, że mogłam trochę pomóc rodzinie. Oto wykonywałam powiększone podobizny chłopców, którzy walczyli na froncie. Każda matka chciała mieć portret swego syna. Z małej fotografii rysowałam ołówkiem na byle jakim papierze. Było wielkie zapotrzebowanie. Zwykle rysowałam po domach przy matkach żołnierzy, bo siedziałam w ciepłej izbie i niejednokrotnie chyturze przedłużałam czas swojej pracy. Przyglądały się z zachwytem powstającym rysunkom i karmiły mnie, czym mogły. Popijałam „kapiatok” z mlekiem i z solą - cukru nie było, i przegrzywałam „lepioszkami” (drożdżowe placki pieczone na blasze kuchennej). A gdy się traśli w chacie „dzieduszką”, karmił mnie bez przerwy, by mieć podobiznę swego wnuka lub syna. Szczęśliwy dziadek robił ramkę, wieszaliśmy portret, a ja otrzymywałam zapłatę - mąkę, mleko a nawet jajka. To była duża pomoc w naszym bytowaniu. I tak płynęły dni, rygodnie, w czas srogiej zimy siedząc w ziemiankach. Nawet choroby nam mocno nie dokuczały. Spotykali-

śmy się na wspólnych modlitwach, które najczęściej organizowała pani Ochnikowa. Rozlegały się wtedy pieśni „Serdeczna Matko”, „Boże coś Polskę”, a miejscowi ludzie podziwiali nas, że tak trwamy w naszej wierze pomimo cierpienia. Pamiętam moment, gdy odwiedził nas ktoś z „władzy”, kazał zdjąć krzyż ze ściany i musiał uciekać od mojej mamy, która go gonila z garnkiem w ręce. Chwyliła co było pod ręką, by go pobić. Pamiętam również jak dziecinne miałam myśli. Obok krzyża na ścianie wisiał obraz św. Zofii z trzema córkami, patronki mojej mamy, a ja żalowałam, że my jesteśmy tylko dwie, bo gdyby były trzy córki, na pewno mamusia zostałaby świętą.

Ciężko było na przedwiosniu. Wśród naszych rodzin zaczął się szerzyć szkorbut. Przechodziły się włosy, wypadaly zęby, nogi pokrywały się wrzodami. Na takie wrzody cierpiałam bardzo długo. Przykrą była „kurza ślepotą” z zapadnięciem zmiroku oczy nie widziały. To było straszne. Najsmutniejsze były pogrzeby. Cisza wtedy zalegała w naszych polskich chatkach, żal, że nie wszyscy wrócą i niepokój, kto następny...

Inaczej było wśród miejscowej ludności. Jedyne przyjęcia, jakie urządzali, to były biesiady pogrzebowe. Bardzo rzewnie wspominali smętnymi pieśniami tych, którzy odeszli. Przy tym śpiew był zakrapiany wódką. Moja mama znając język rosyjski jeszcze z „czasów carskich”, umiała współżyć z sybiraczkami, to też zapraszali ją na stypy jak kogoś swojego. Z chęcią szła na takie przyjęcia, bo sama się najadła, a jeszcze za pazuchą nam przyniosła. Pamiętam, jak czekaliśmy na „Jepioszki”, jakie zdołała schować by nas podkarmić. Smutne to, ale prawdziwe. Najważniejsze było to, że mogła nam dać jeść, a jakim sposobem to nie wchodziło w rachubę.

Nastala wczesna wiosna, wojna trwała, nie było nadziei na powrót do Polski, trzeba było dalej żyć, by przetrwać. A był to już rok 1942. Dopiero dziś dowiadujemy się jak toczyła się wojna, co działo się w Europie, jakie były losy nie tylko nas, Polaków, ale ludzi na całym świecie, bo wojna ogarnęła świat. Do naszego poseszka „Rozdolnyj 27” dochodziły skape wiadomości o klęsce, a starzy ludzie, katorżnicy, czekali na Niemców, twierdząc, że nawet wróg z pewnością nie będzie gorszy od władzy stalinowskiej, która tak ich skrzywdziła i do tego nazywając się „rodina” (ojczyzna). Czekaliśmy wiosny, czekaliśmy na każdą wiadomość, która dotyczyła naszej Ojczyzny. Jak zawsze żyliśmy Polską i nadzieją, że mimo wszystko, wrócimy.

Po wielkich zawiejach śnieżnych i mrozach, przyroda szybko budziła się do życia. Intensywne promienie słoneczne zamieniały śnieg w potoki. Życiodajna woda zalewała ogromne pola stepu, który na krótko pokrywał się zieloną, a w niektórych miejscach nawet pojawiały się kwiaty. Wybiegałam w step, pod nogami wyczuwałam miękką ziemię, która rychło zamieniała się w twardą, spaloną słońcem skorupę. Niebo przybierało piękny, intensywny niebieski kolor, chmury jak zwykle szły na zachód, w stronę Polski, tylko my tkwiłyśmy w miejscu. Na południowej stronie nieboskłonu w czasie południa wykwitato całe miasto. Wyraźnie było widać czerwone dachy, wysokie wieżyczki meczetów i inne cuda dużego miasta, ale była to tylko „lata morgana”. Miejscowi ludzie mówili, że to Alma-Ata położona od nas kilkaset kilometrów. Piękny był świat przyrody syberyjskiej, zwłaszcza w naszych kilkunastoletnich oczach, które niestety, z nastaniem nroku niejednokrotnie nie widziały. Twarda rzeczywistość przywoływała nas do codzienności. Nastawał czas pracy - „posiewnaja”. Zwyczaj był wielki pospiechu, by ziarno trafiło do ziemi, zanim pałace słońce zamieniłoby ją w twardą skorupę. Wywozili nas wówczas daleko od mamy i tam całe dni od świtu do zmiroku pracowaliśmy. W czas wiosenny, gdy jeszcze nie było upałów, pragnienie picia tak bardzo nie dokuczało, ale głód nas prześladował, bo na przedwiosniu jeszcze bardziej zmniejszano racje żywnościowe. Dokuczał również chłód. Poranki o wschodzie słońca przejmowały zimnem. Mnie tym razem przeznaczono do siewu słonecznika. Należało uzupełniać maszynę siewną kilkoma wiadrami ziarna słonecznikowego, a traktor rozsiewał, objeżdżając zagony do pięciu kilometrów w obie strony. Samotka byłam wówczas w tym bezkresnym stepie, traktor był małym punktem na horyzoncie, a ja na

wozie zanurzałam się w ziarnie, bo zimno było miesamowicie. Nigdy nie mieliśmy dostatecznie ciepłej odzieży. Nade mną płynęły obłoki po niebie. Przybierały w moich oczach różne formy, a to rzeka płynąca, a nad nią krzaczaste stare wierzby, a to piękne łany zboża, a nad nimi Matka Boska w niebieskiej szacie Niepokalana. Modliłam się wtedy żarliwie, prosząc o opiekę, wszak należałam do Rycerstwa Maryjnego od roku 1933-go. Owcześnie medalik zgubiłam, ale do dziś przechowuję dyplomik przyjęcia podpisany przez Ojca Maksymiliana Kolbego jako księdza promotora. Wówczas nie wiedziałam, że jestem w posiadaniu świętej relikwii, wszak w tym czasie cierpiał nasz Męczennik. Moje widzenia w chmurach były na poty dziecięce: to była rozrywka, nie chciałam stale płakać i myślałam jak dziecko – ta chmurka leci do mamusi z pozdrowieniem, ta chmurka do tatusia, a te małe pierzaste do rodzeństwa, a ta przepiękna, duża leci ode mnie do Polski – szkoda że tylko ona. Tak bardzo zapamiętywałam się w moich widzeniach, że traktor musiał długo hałasować, żeby mnie przywrócić do rzeczywistości. Nie wytrzymałam długo tej samotności w stepie od świtu do nocy. Postanowiłam znowu uciec do mamy. Na moje szczęście traktor się zepsuł więc od rana kryjąc się za barakami wybrałam się w drogę. Przede mną dwunastokilometrowy marsz w bezkresnym stepie, lecz coż to mogło znaczyć – zobacze mamę, a niosę dla niej prezent – ziarna słonecznikowe – na pewno się ucieszy. Mama była bardzo wyczerpana, nie spała po nocach, nie mieliśmy żadnych lekarstw, zaczęła chorować na nerwy. Luskanie słonecznika uspakajało ją, męczyło i w końcu zasypiała chociaż na trochę. Niestety, coraz trudniej było dostać ziarenka. Wybierając się do domu wysypałam trochę pestek do mojego woreczka jak i zawsze miałam przy sobie na chleb i łyżkę. Stąd była moja radość – z niespodzianki dla mamy. Po drodze doszła do mnie dziewczyna Ukraińska, która pracowała w kuchni, również uciekinierka. Razem było nam weselej, ale nie na długo, bo na horyzoncie pojawiła się dwukółka, którą jeździli naczelnicy. Trwoga mnie ogarnęła, przed nami stał przedstawiciel posiadłości. Dziewczyna upadła na ziemię, zaczęła stękać, że ma straszne bóleści, ja stałam bezradnie. Naraz naczelnik zainteresował się woreczkiem, kałaf go sobie podać, a gdy sprawdził zawartość, zaczął wyzywać mnie od złodziejek. Krzyczał, że już nie pójdę do pracy tylko do więzienia. Miałam się stawić jeszcze dziś w „kantorze” w kancelarii. Popędził konia i zostawił nas same. Wówczas dziewczyna dopiero wstała, wyzywała mnie od głupich i pokazała pod szeroką bluzką worek z kapustą. Właśnie dlatego udawała ból brzucha, a mnie głupią czeka więzienie. Szłam i płakałam, że zamiast radości niosę zmartwienie. Obiecywałam sobie, że nie pójdę do „kantoru”, mama płacząc zapewniała, że nie da mi zrobić krzywdy, ale zaraz tego dnia zjawił się sekretarz z wiadomością, iż czekają na mnie. Kancelaria mieściła się tak jak dom kultury w samym środku posiadłości. Zwykle omijaliśmy „naczalstwo” pragnąc by zapomnieli o nas. Teraz czekali na mnie. Tak bardzo nie bałam się, bo mama była ze mną. Po przekroczeniu progu zaskoczyła nas cisza. W kącie sali za udekorowanym ozdobionym stołem siedział naczelnik kolchozu z osobami sprawującymi władzę. Po obu stronach wzdłuż ścian na ławach siedzieli brodacі starzy ludzie tzw. „starszyzna”. Stańliśmy w progu zaskoczone – uwaga sąd siędzi pomyślałam. Tak sobie ich zapamiętałam. Kazali zbliżyć się do stołu, na którym leżały dowody mojego przestępstwa – woreczek z garścią ziaren słonecznikowych, a obok łyżka domowa, której najbardziej było mi żal, drewnianą trudniej było jeść. Naczelnik jako oskarżyciel zabrał głos. Padły ciężkie słowa – oto złodziejka, naruszająca dobro państwa, przybłąda powinna dziękować za sowiecki chleb, o który tak trudno w czas wojny, a dopuściła się kradzieży. Z garści pestek słonecznikowych, które urosły do dwóch kilogramów, uczynione przestępstwo, wymagające surowego wymiaru kary. Już jutro dowiozą mnie do Akmołenska, gdzie prawdziwy sąd skaze mnie jako „wrodziciela” (wroga) na więzienie i Tajier. Pomruk poszedł po sali, rada brodaczy kiwała głowami. Nikt nie zabrał głosu w mojej obronie, kazano nam wyjść. Wówczas mama usiłowała tłumaczyć, że przecież nie mam jeszcze osiemnastu lat, że jestem dzieckiem. Zebrani byli nieporuszeni. W rozpacz zaczęła ich straszliwie przeklinać, płakała, dobiegala do każdego brodacza, szukała ratunku.

Niestety wyrok zapadł - „zawtra sobierajsa z wieszozami”. Przed kantorem zebrali się gromadka naszych, ale nikt nie był w stanie pocieszyć moją matkę. Wieczorem, gdy było już ciemno, mama zawinęła w wąż kilka swoich złotych zębów, które jej wypadły, a które chowała na czarną godzinę i pobięła do sekretarza. Wróciła z moim woreczkiem i z drogocenną łyżką. Sekretarz obiecał, że akta oskarżenia gdzieś się zawieruszą. Długo, w nocy nie spaliśmy, zebrali się trochę nas i znówu były nocne Polaków rozmowy...

Rano zerwałam się z łękiem - oto miałam sen, iż siedzę przed biurkiem, za którym widzę kogoś w mundurze NKWD. Po mojej prawej ręce stół pokryty szkłem a w nim odbicie Stalina. Unoszę głowę i na ścianie widzę tradycyjny portret „wodza”. Raptownie obudziłam się, byłam pewna następstw wczorajszych przeżyć, tym bardziej, że sny moje sprawdzały się. Spotykało mnie to co widziałam we śnie. Przed naszym zejściem widziałam we śnie wagony bydłowe, wielki szlak torów, bezkresny stęp i ja przygwożdżona do ściany wagonu, od którego nie mogłam się oderwać. Musiałam zbierać się do pracy w polu, co przyjełam z ulgą i radością. Złoto jako okup potwierdziło swą wartość, zapomniano o złodziejce, wróciłam do „posiewajki”, a mój sen dopiero za niespełna rok miał się sprawdzić. Zanim to nastąpiło, przeżyliśmy wielką radość, bo nagle przyszła wolność.

Na ekranie politycznym zabłysnął gen. Sikorski, który pamiętał o Sybirakach. Zmienił stosunek władz do nas - już nie byliśmy niewolnikami. Tak trudno odtworzyć naszą ówczesną niedolę, bo oto my, wyrwani z ziemi Ojczyzny, pomiewierani, skazani na zagładę w olbrzymim imperium sowieckim, jesteśmy odnalezieni i zauważeni. Tysiące rodaków naraz zostało pobudzonych do działania, tysiące dzieci - tułaczy, pozbawieni opieki rodzicielskiej znajdują kawałek chleba i odwszone, gojące się z ran swoje główki, tuli do białego prześcieradła, jakie zapewniają im nowo otwarte delegatury polskie. Dzięki gen. Sikorskiemu zaopatrzone nas w leki, głównie witaminę C - goiły się wrzody i rany. Dzieci utrzymywały nawet mleko w proszku, a tak wiele było potrzeb. Bardzo opóźnione były wszelkie nowe wieści, ale byliśmy pełni nadziei. Oto nastąpiła mobilizacja naszych chłopców, każdy chciał iść do polskiego wojska. Oplakiwaliśmy Piotrusiów, Zygmuśsiów, Andrzejów, Marjanów... Z nami zostawała nadzieja, że już niedługo... Bardzo przeżyłam rozstanie ze starszymi koleżankami, zazdrościłam im, jeszcze nie miałam osiemnastu lat, a i odwagi było brak, bo jakże zostawię chorą mamę i młodsze rodzeństwo. Wielką radością było to, że wróciła pani Toberowa. Spotkała się z synem, którego znalazła zdrowego, wyrosniętego i zadbanego przez moją matkę. Wprawdzie znalazły się zgrzyty i zarzuty przeciw mojej mamie, że zbyt dużo laszków p. Toberowej poszło na zamiar za zboże, ale czyż można porównać wartość paru sukien za cenę ocalonego dziecka? Nie jestem pewna czy spotkałaby swego syna, gdyby został zabrany do „dzietdomu”. Po tylu latach odczuwam krzywdę mojej matki, która nie doczekała się wdzięczności za ocalenie obcego dziecka.

Smutno nam było po pożegnaniu naszych chłopców. Wraz z nimi wyjechały niektóre rodziny oficerskie i później otrzymywaliśmy listy z Teheranu jak dobrze się mają, że codziennie jedzą smażoną jajecznicę, owoce. Jakże zazdrościliśmy im tych smażonych jaj.

A przed nami było jeszcze dużo wygnaniej poniewierki...

## VII

Niedawno przeczytałam fragment wspomnień Hanka Orłonówny o dzieciach tułaczach. Jeden z nich, kilkunastoletni chłopiec, wywieziony bez rodziców zachorował w drodze na Sybir i pozostał gdzieś na szlaku. Cudem wyzdrowiał i szukając zastępczej rodziny, która zaopiekowała by się nim w drodze, trafił do posesjki „Rozdolnyj 27”, gdzie nie znalazł swoich opiekunów, gdyż nie był to transport ze Lwowa. Istotnie posesjka „Rozdolnyj 27” istniał i zapewne do dziś istnieje pełen zesłańców niewolników stalinowskich, bo trudno uwierzyć, że mógł go dosięgnąć okrucieństwo dla umęczonego ludu do tak zapadłego skrawka świata, gdzie przebywaliśmy całe lata.

Opustoszało po wyjeździe naszych chłopców. Pozegnałam starsze koleżanki - wesołą Kazię „wierszokłecę”, rozestanną Losię z siłkowymi oczami. Już nie było naszej „czwórki dziewcząt” Pani Matloch, maż zaufania posesjki, krążyła między polskimi rodzinami, a Alkmoleńskiem, gdzie tworzyła się delegatura Rządu gen. Sikorskiego. Przywoziła nam w płynię witaminę „C”, matym dzieciom mleko skondensowane, ale najważniejsze były wiadomości. Oto powstał Rząd Rzeczypospolitej Polski, koniec poniewierki. Musielismy przetrwać tylko jeszcze jedną zimę, czas wiosny - to powrót do ojczyzny. Chyba nikt tego opisać nie zdoła, jak bardzo byliśmy szczęśliwi. Tylko do wiosny... Niemcy ponoszą klęskę... Ojczyzna wyzwolona... Po naszych ziemiankach rozległy się dziecinnie pieśni i modlitwy. Miejscowi zesłańcy byli zdumieni - „to taka jest ta wasza ojczyzna, że pamięta o was? - o jakże wam zazdrościmy. Może naprawdę jest Bóg - mówili - a jeżeli jest to chyba tylko wasz, bo o nas nie pamięta”. Widziałam, jak „dziadzia Wania” i „ciocia Pasza” płakali zazdroszcząc nam.

Lato zbliżało się ku końcowi, znowu jesień coraz bliżej. Tkwiłismy w naszych ziemiankach pełni nadziei, lecz trzeba było żyć, a życie to znaczy jeść, by przetrwać. W społeczności kolchozowej hasło „kto nie rabotajet ten nie jest” było twardym rozkazem. Wprawdzie już nie słyszeliśmy „wy wroźdżiciele, kapitalisty” - ale „na dawajcie sojuszniki, nada rabotać” - o wiele łagodniejsze poganianie. Byłismy zmuszeni iść do pracy dla łyżki gorącej stawy i czterystu gram chleba, bo chleb był tylko dla pracujących. Nastal dla nas czas, że łatwiej było przebywać nawet na „stanie” z daleka od mam bo przecież to już na pewno ostatnia „chlebouborka” (zniuwa) w dalekich stepach Kazachstanu. My, dziewczęta, byłismy osamotnione bez naszych chłopców. Po całodziennnej pracy już nie widywałyśmy ich w stolówce, stojących bez przerwy w kolejce po „lapszę”. Niejednokrotnie denertwowaliśmy się gdy przy okienku usiłowali udowodnić, że stoją dupicru pierwszy raz po łyżkę stawy, a wyrzuczone żołądki świadczyły przeciwko nim. Nasi chłopcy byli stale głodni. My dziewczęta starałismy się choć trochę obmyć przed spoczynkiem, choć w zimnej wodzie, a naszym kolegom nie przeszkadzało że byli brudni i spoceni. Zasypiali po kątach twardym snem, ale przedtem kazali nam spać, abyśmy nie asystowały przy tańcach i śpiewach z bałabajkami. Teraz wspominałyśmy, ich gdzieś byli daleko w świecie i smutno było, gdy ktokolwiek z obcych śmiał zalecać się do nas. Pamiętam, jak nie mogłam wybaczyc umizgów młodego traktorzysty, który wkładał nowe błyszczące kalosze, by wygladać bardziej atrakcyjnie w moich oczach. Pewnego dnia otrzymałam propozycję, by prowadzić sklepik na stanie. Moja praca polegała na dzieleniu chleba, wazeniu i rozdzielaniu mleka dla traktorzystów. Krótka cieszyłam się tak dobrym zajęciem, gdyż w porze wieczornej zaczął mnie odwiedzać jeden z naczelników z niedwuznaczną propozycją, która była nie do przyjęcia. Za karę zostałam narysowana w gazecie ściennej z wielkim językiem zlizującym mleko. Wobec takiego przestępstwa natychmiast musiałam iść w pole do wólów, do „skirdowania”. Rzucalo się słomę widianni na drabiniasty wóz, a później po wyładowaniu układało się ją w olbrzymie kopy, zabezpieczając na czas zimy. A zima nieubłagalnie nad-



chodziła. Dni stawały się coraz krótsze, ranki i wieczory chłodniejsze. Było wieczne zmartwienie co włożyć do garnka, co ugotować, by zaspokoić głód. Dochodziła również troska o opał. Już nie mieliśmy co sprzedać.

Wypatrywaliśmy nieraz gwałtownych wiatrów jesiennych, bo wówczas step pokrywał się „koluczkami” - były to wyschnięte krzaki w kształcie kuli, które toczyły się po stepie z wiatrem nieraz wiele kilometrów.



Silne wiatry jesienne gnały po stepie tzw. „koluczki” - wyschnięte krzaki, które wędrowały -ca opał.

Wybiegaliśmy wówczas z długim sznurem i łowiliśmy wysuszone porosty. Wiatr nas pędził wraz z „koluczkami”, kto był sprytniejszy, nabierał więcej. Pamiętam, że ta gonitwa sprawiała nam wiele zabawy i uciechy, a potem łamało się gałązki i aż huczało pod kuchnią. Czekaliśmy wszyscy w milczeniu na coś ciepłego, aby trochę zaspokoić głód. Do dzisiejszego dnia nie lubię wiatrów, ani jesiennych chmur płynących po niebie.

Niespodziewanie szybko minęła zima tamtego roku. Nawet Boże Narodzenie nie było takie ławne, choć już bez szopki, bo nie było naszych chłopców. Przetrwaliśmy kolejną zimę, a pani Matloch, nasz dzielny mąż zaufania, już na przedwiośniu, gdy ustaly zawieje śnieżne, przemierzała trzydziestokilometrową odległość do Delegatury Polskiej w Amoleńsku, by dostarczyć witaminę „C” i inne lekarstwa. Szkortut, który nas zaatakował, powoli ustępował. Moje ropne rany na nogach powoli się goiły. Pozostały już na całe życie sine plamy, ale wówczas to nie miało znaczenia najważniejsze, że nie ciekła ropa, nie trzeba było bandażować byle jakimi łaszkami. Gdzieś we wczesnych miesiącach wiosennych pani Matloch wróciła z Delegatury z wiadomością dla mnie, że potrzebują kogoś do narysowania Orła Białego i zgłosiła mnie. Nigdy nie zapomnę tej chwili. Natychmiast zgłosiłam się do pracy. Stałam przed obliczem delegata jako ośmiemnastoletnia zabiedzona dziewczyna - chyba nie bardzo wierzył w moje umiejętności. Na pięknym białym bry-

stolu moje orły były jak żywe, choć wykonane tylko ołówkami. Moim portretem generała Sikorskiego wprowadziłam wszystkich w zachwyt. Otrzymałam dalsze zamówienia, rysowałam wiele razy gen. Sikorskiego i Godło Państwowe. Akmoleńsk położony był od naszego posesiołka w kierunku północno - zachodnim, oddalony o trzydzieści kilometrów. Wychodziłam rano, niosąc zwinięte w rulon moje rysunki. Jeszcze śniegi leżały na rozległych stepach, ale buriany już nie groziły. Nadchodziła wiosna. Szłam samotnie jedyną wydeptaną drogą, przechodziłam obok wioski Kirgizów tzw. „aułu” – jak zwykle milczące; kamienne ziemianki, a obok cmentarz przodków azjatyckich. Każdy grób zdobił kamień, czym większy tym szlachetniejsze było pochodzenie nieboszczyka. Mijałam milczące nagrobki i ciche chaty kirgizkie, rzadko kiedy spotykałam ich mieszkańców. To był zamknięty, milczący świat. Dochodziłam do Akmoleńska już w godzinach popołudniowych. Z daleka widziałam tłum ludzi otaczających Polską Delegaturę, każdy zesłaniec wygłodniały i zabiedzony czekał na wsparcie i ratunek. Pan delegat przyjmował mnie bardzo serdecznie. Ustawiał moje rysunki (a były wielkości około 50 na 40 cm), zwoływał swoich najbliższych współpracowników i przedstawiał mnie jako utalentowaną młodą osobę. Następne zamówienia miałam wykonać jak najszybciej, bo przygotowywano otwarcie kaplicy. Rysowałam Pana Jezusa w cierniowej koronie, Matkę Boską Ostrobramską i Św. Andrzeja Bobolę, męczennika Kresowej Polski. Byłam szczęśliwa... Wysłano mnie do magazynu, zeby sobie coś wybrała z ubrania. Pamiętam to zdarzenie: Stałam na progu pokoju, w którym na wieszakach wisało wiele kolorowych sukien. Panie, które się tam krzątały potraktowały mnie jak intruza. Musiałam bardzo niekorzystnie wyglądać w wyrosniętej, latanej sukience, a może nawet byłam niedomyta? Poprosiłam skromnie o ciepłe skarpety, pokazując chore nogi i o witaminę „C” – nikt nie usiłował przelamać mojej niesmiałości. Mimo wszystko byłam bardzo szczęśliwa. W niewiarygodnie szybkim tempie wykonałam obrazy i znowu wyruszałam w drogę. Tym razem napotka-



Wiosniowice z Tapani ziqqeli Taidzi po rozstopach, na pierwszszym planie Polak, innego społecznika i pomłodowitacu Delegatury.

łam na przeszkodę, bo oto szybko topniejące zaspę śnieżną zamieniły się w roztopę a mała rzeczka Iszym zalała całe połacie stepu.

Doszedłam do koryta rzeki, które w lecie było zwykle wyschnięte i ujrzałam rwący potok, wzdłuż którego uruchomiono łodzie, jakimi przewożono podróżnych na przeciwległą stronę. Urwistym wysokim brzegiem szli ociężałym krokiem ludzie w łachmanach, boso, z powrozami na ramionach, którymi ciągnęli łódź z podróżnymi. Stałam na brzegu i zaskoczona widokiem katorżników, zawołałam „O Boże”. Usłyszał mnie człowiek podobny do tych, którzy ciągnęli łódź. Siedział, czekając na następnych podróżnych. Był okropnie zarośnięty. W obdarłej odzieży, miał nabrzmiałe sine ręce i nogi spoczywające na wiosłach w łodzi. Na moje słowa rzucił się ku mnie z okrzykiem: „pani z Polski?” Boże, co to było za spotkanie. Spód zarośniętej twarzy patrzyły na mnie polskie oczy pełne łez. Byliśmy na chwilę sami, mogliśmy porozmawiać. Przebywał w łagrze, nic nie wiedział o amnestii dla Polaków. Zaraz spisałam jego dane, ciężko było żegnać się ze sobą, chociaż tak bardzo zaręczałam, że świat o nim się dowie. Zaraz tego samego dnia złożyłam meldunek o niespodziewanym spotkaniu. Niestety, bywały takie zdarzenia, że nie do wszystkich rodaków docierała wolność. Ja przeczytałam jeszcze jedną radosną chwilę, oto nastąpiło otwarcie kaplicy, a mnie przedstawiono zebranym jako wykonawczynię obrazów umieszczonych na ścianach. Wzruszające było spotkanie z księdzem, odprawienie Mszy Świętej. Wszyscy, zamiast śpiewać, płakaliśmy na głos.

Otrzymałam ponowne zamówienia na portret gen. Sikorskiego. Pamiętam, że już byłam zmęczona wielokrotnym rysowaniem portretu z małej fotografii. Znałam każdą zmarszczkę na jego twarzy, każde światełko jego oczu. Nawet dziś, gdy patrzę na tą dobrą twarz, odbieram ją jako coś bliskiego. Jeszcze miałam narysować dwoje dzieci Delegata również z małych zdjęć na pamiątkę. Oświadczone mi, że wkrótce wyjadę jako opiekunka sierot na Bliski Wschód, a później do Londynu. Tam trafię do żony pana Delegata, który się mną zaopiekuje, bo będę się uczyć. Bardzo się cieszyłam, a jednocześnie martwiłam się jak zostawię moją rodzinę, a mamy być dobrej myśli, bo dla wszystkich już bardzo prędko otworzy się droga do Polski. Jakże nam było wtedy radośnie.

Następnym razem gdy zjawiłam się w Delegaturze spotkała mnie niespodzianka. Oto witał mnie, jako swoją dobrodziejkę, całując po rękach, bardzo dystyngowany pan. Był to „brodacz” woznica w łachmanach z łodzi na rzece. Polecono mi stawić się za tydzień po dokumenty, będą wówczas powiadomiona o dacie wyjazdu za granicę, a nastąpi to w najbliższym czasie. Nie przypuszczałam wówczas, że widzimy się ostatni raz. Katastrofa, w której zginął gen. Sikorski spadła na nas jak wielkie nieszczęście. Krążąc wokół niedawnej Polskiej Delegatury, cudem uniknęłam aresztowania. Jeden z Polaków zabrał mnie do swego domu i opowiedział jak NKWD wszystkich rozpedziło, wielu znów uwięziono i znów jesteśmy wrogami. W pewnej chwili spostrzegłam na ścianie obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej wykonany ołówkiem. Na pytanie skąd go ma mówił, że zdobył w czasie likwidowania kaplicy, że inne rysunki Polacy zabrali do swoich domów. Były jeszcze godła i portrety gen. Sikorskiego, ale nie udało mu się więcej dostać. Relacjonował, że ta dziewczyna, która rysowała jest już w Anglii, zaopiekowano się nią i postano do szkół. Gdy zbliżyłam się do obrazu, odczytałam w rogu po prawej stronie mój podpis „Halina Pietura”. Proszę pana ta dziewczyna stoi przed panem. Przyznaję, że mój przygodny znajomy był tak zaskoczony, że nie wiedział gdzie mnie posadzić i wraz z żoną poczęstował mnie chociaż herbatą.

## VIII

Nad posesiołkiem „Rozdolnyj 27” jesienią zawisła rozpacz i strach, który paraliżował nie tylko nas, Polaków, ale i dawnych zesłańców tej ziemi. Oto przybyło NKWD - nie pamiętam czy tradycyjnymi „czarnymi maszynami”, czy konnymi furmankami. Carewicze w zielonych „rubaszkach” korzystała z wyższej techniki, to tylko my chodziliśmy pieszo po bezkresnych stepach Kazachstanu lub małymi wołami zaprzęzonymi do drabiniastych wozów w skwarze hezli-tosnych promieni słońca. Zajęli cały kolchozowy kantor (kancelarię) i z nastaniem dnia wzywali „wrodziciele” to znaczy nas „polaczków”. Naraz po katastrofie w Gibraltarze, gdzie zginął gen. Sikorski, staliśmy się powtórnie wrogami. To też wzywano nas. Każdy dorosły musiał się stawić osobiście po dokument obywatelstwa sowieckiego. Szły nasze matki na wezwania, pozostawiając dzieci w lepiankach. „Podpiszesz - paluczysz paszport - jeśli nie podpiszesz - padach-niesz”. Podpisywały, zgadzały się, wychodziły zapłakane, jakże by inaczej, wszak dzieci czeka-ją. Spędzili nas do kolejki. Mało młodzieży, bo większość już była poza granicami. Staliśmy pełni nerwowego napięcia. Przede mną mama, za mną siostra. Widziałam panią D. z trzema małymi córkami. Ostatnio chodziła z podniesioną głową, pełna nadziei, uśmiechnięta, że już wkrótce wrócimy, że spotka męża. Jej śpiew niósł po przez step słowa tanga „Gdy wrócisz po wielu latach, zastaniesz pokój w kwiatkach...” Teraz niósła nisko spuszczoną głowę. Obok pani O - starsza osoba, nazywaliśmy ją po cichu naszym księdzem, bo przewodziła w nabożeń-stwach majowych i różańcowych. Jej niebieskie oczy zupełnie wyblakły. Dużo płakała. Najstar-sza córka Genia wstąpiła do polskiego wojska, przedtem dwaj synowie uciekli z posesiołka do Polski i ślad po nich zaginął. Pozostała z małym Heniem o chabrowych oczach. Pani Helena z synem Ryskiem przekonywała wszystkich, że musimy się zgodzić, by być razem wówczas nie zginemy, ale pani Dorota z trójkiem nielelnich dzieci (dwoje już pochowała w stepie) nawoły-wała do oporu. Niedaleko moja śliczna starsza koleżanka Natalia bardzo blisko bo, z jednej uli-cy, z jednego gimnazjum, stała mileżąca ze swoją chorą mamą i małą siostrzyczką. Tuż za nią również sąsiadka z Kobrynia, dzielna, zawsze podtrzymująca nas na duchu, pani Hania B. z ma-lutką Jolą. Stopniowo skracała się nasza kolejka, wychodzący z Kantora mieli spuszczone gło-wy, płakali. Po mojej mamie ja przekroczyłam próg. Trzech ich siedziało za czerwonym stołem, na którym leżały przygotowane paszporty. „Podpiszu” - „Nie, ja nie podpiszu”. Będiesz aresz-towana, zginiesz w Lagrach. „Jesz sowiecki chleb, będziesz sowiecką grażdanką”. „Ja jem swój chleb za resztki polskiego dobytku”. Jeden z nich zerwał się, myślałam, że mnie uderzy. „W wieźcieniu podumajesz i podpiszesz”. Wyszłam jak bohaterka, przynajmniej taką siebie wi-działam. Oto odrzuciłam ich obywatelstwo, to nie, że pozwolili oddalić się, że zabiorą mnie w nieznane. Następna poszła siostra, dołączyła do mnie. Pani Dorota również wtrwała przy swo-im, decydując się pozostawić dzieci pod opieką naszych matek. Rysiek S. gotów na wszystko, wołający że jego pierwszy paszport będzie tylko polski, dodawał nam ducha. Staliśmy we czwórkę, oddzieleni od swoich, a gdy powtórnie odmówiliśmy, kazano zbierać się w drogę. Już nie wolno nam było rozmawiać ze swoimi, stojącymi wokół nas. Nadal wzywano do podpisów.

Aresztowanych jak najszybciej wyprawiono w drogę. Na wozie usadowił się konwojent z nieodłącznym karabinem, my za nim pieszo, a przed nami trzydziestakilometrowy marsz. Na po-zegnanie zawołałam „Jeszcze Polska nie zginęła”. Usłyszałam polecenie enkawudzisty wskazują-cego na mnie do wartownika: „Etu dziewczoczku ustaw mnie” (tą dziewczynę zostaw dla mnie). Posiołek powoli zostawał za nami. Szliśmy wydeptanym traktem stepowym. Pani Dorocie po-zwolono kilka razy przysiąść na wozie, widocznie widzieli jej zmęczenie, a my młodzież, masze-rnowaliśmy zaciekle „za Polskę”. Nigdy nie da się zapomnieć ile wówczas w naszych sercach było rozpaczliwej desperacji i gotowości do cierpienia za Ojczyznę.

Osadzono nas w więzieniu rejonowym. We trzy trafiliśmy do celi, gdzie siedziały dwie Rosjanki kryminalistki. Ryśka umieszczono z groźnym przestępcą, zabójcą żony Nary były wąskie, dwuosobowe, musiałyśmy leżeć w poprzek, nogi zwiślały i nie można było ich podkurczyć z braku miejsca. Zabronione było kłaść się w dzień - „judasz” bez przerwy obserwował. Nocy były zwykle zarwane bo wzywano nas na przesłuchania. Towarzystwo kryminalistek było bardzo uciążliwe, musiałyśmy wysłuchiwać okropnych bezecustw i wyzwisk skierowanych pod naszym adresem. Kilka nocy minęło dość spokojnie, nie licząc krzyków i szamotań w wąskim korytarzu. Przytulone do siebie, dwie siostry trzęśmy się z zimna. Była późna jesień, a chłody zimowe rozpoczynały się już od października. Za ścianą rozlegały się głośne krzyki zabójcy żony. Miał się po celi i wołał, że zimno. Bardzo to przeżywałyśmy, bo przebywał z nim Rysiek. Bałyśmy się o niego. Dozorcy podkpiwali że „połaczek” spi w objęciach bandyty. Pewnego ranka po bardzo głośnej nocy usłyszaliśmy nawoływania, że już jest czym palić, że natychmiast dozorey mają podpalić w piecu. Okazało się, że więzień współtowarzysz Ryśka, połamał w nocy nary, rozebrał częściowo ścianę pieca, przekładał połamane deski, a ze drzwiczki od pieca znajdowały się od korytarza, krzycał aby rozpalić, bo wreszcie jest czym palić. Nastąpiła niesamowita szamotanina, krzyki zabójcy, a potem cisza. Bardzo martwiłyśmy się o naszego kolegę. Nasze współtowarzyszki bawiły się doskonale, że wreszcie się coś dzieje, a my dopiero podczas spaceru usłyszałyśmy głos Ryśka, że jest zdrow i cały. Krótkie spacery dookoła obmurowanego podwórka najczęściej były bardzo przykre. Bywało, że nasi przesładowcy popędzali kopniakami. Miałam tak wyczułone nerwy, że pewnego ranka przepowiedziałam zmianę dozorey, bo widziałam innego podczas snu. Nawet ja byłam zaskoczona, gdy na progu celi ujrzałam dozorcę z mego proroczego snu. Był trochę łagodniejszy, wysniłam go.

Cieężko było pod presją kryminalistek. To one decydowały, która „czekuszką” (gliniana miska) przypadnie nam. Niekiedy kilkakrotnie zanurzały palec w zupie, sprawdzając czy „burzajki” (kapitalistki) nie mają gęściejszej. Tego upokorzenia chyba nigdy nie zapomnę. Zerknęłam się wówczas ze światem przestępczym i z jego brutalnością. Może dopiero dziś po wielu latach, w podeszłym wieku, zdobyłabym się na tolerancję, ale wówczas młoda dusza buntowała się. Widziałam upokorzenie mojej siostry. Marysię cechowała waleczność i energia. Musiała chylić głowę, bo inaczej załudyły by ją te wstrętne dziewczyny o zwierzęcych instynktach. Bardzo bałam się, nie znosiłam fizycznej przemocy, to była moja słaba strona.

Rozpoczęły się niespokojne noce. Początkowo wzywano nas wszystkich naraz i wówczas wizyty były krótsze. Oprócz wyraźnej niechęci do sowieckiego obywatelstwa, mnie oskarżono jeszcze za „jeszcze Polska nie zginęła”. Naczelnik był przy naszym aresztowaniu, dlatego postanowił zająć się mną osobiście. Słowa „etu dziewczonku astaw mnie” - dopiero teraz stały się dla mnie zrozumiałe. Bardzo chciałam, żeby Marysię zostawili w spokoju, gdy wychodziłam w nocy miała więcej miejsca do spania. Prowadzona długimi, wąskimi korytarzami, miałam wiele cel. Później przejście stawało się obszerniejsze, jaśniejsze, otwierano normalne drzwi i oto znajdowałam się w pomieszczeniu, wyściełanym dywanami, z ogromnymi portretami na ścianach, z młotem i sierpem w czerwieni. Pamiętam zapach tytoniu tureckiego - to był luksus - tylko NKWD tak pachniało. Może dlatego nie mogłam znieść długi czas tego zapachu. Podczas wolno płynących godzin nocnych, w kółko należało opowiadać dane personalne. Na odpowiedź, że urodziłam się w Polsce, ironiczny uśmiech i mruknięcie „Zataja maładziej polskaja”. Jego spokojny głos oznajmiał mi jakie ciężkie przestępstwo ciąży na mnie: że Polska zginęła i nigdy nie sprawdzi się by była „od morza do morza” - te słowa wypowiedział po polsku. Byłam oto tak daleko od Ojczyzny spotkałam wroga, który nawet nasz język znał. Swoje wywody kończył zwykle stwierdzeniem, że zginę w lagrach. Bez przerwy palił papierosy, sprawiał wrażenie, że jest pochłonięty pracą. Od czasu do czasu przyglądał mi się swoimi badawczym wzrokiem, a ja siedziałam na stolku bez oparcia między stolami ustawionymi pod kątem prostym. Początkowo cieszyłam się, że jest ciepło, że nie marzną, potem czułam ogromne znużenie i gdy próbowałam położyć głowę na brzegu stołu, ostry głos przywoływał mnie do porządku. Pewnego razu, za-

nim uniosłam swoją głowę, otworzyłam oczy i ujrzałam w szkle leżącym na stole odbicie Stalina. Spojrzałam do góry. Po prawej stronie wisiał jego wielki portret. Przypomniłam mi się sen z posesiadka, kiedy schwymano mnie na kradzieży garści ziarenek słonecznikowych, jakie niesłam do mamy. Uśmiechnęłam się na to wspomnienie a po chwili oprzytomniałam słysząc ostry głos. Doszło jeszcze jedno oskarżenie, że śmieję się z ich wodza. To było ponad moje siły i rozplakałam się, chociaż stałe sobie powtarzałam byle nie płakać. W mój proroczy sen nie wierzył, a nie mogłam się przyznać, że już przedtem groził mi Lagier za złodziejstwo. Którejś kolejnej nocy naczelnik kazał mi opowiadać o moim dzieciństwie. Snułam wówczas wspomnienia o tak niedawnych słonecznych dniach, kiedy jako dziecko cieszyłam się swoim domem rodzinnym, miastem, szkołą. Opowiadałam mu o moim gimnazjum, a nawet o lekcjach, gdy poznawaliśmy świat. Z racji języka francuskiego bliski był nam Paryż, zwyczaje i obyczaje jego mieszkańców, gdzie święto lipcowe, święto wolności, upoważniało wszystkich do wzajemnych uścisków i całusów w imię wolności ojczyzny. Na lekcjach łaciny stawała się bliska kultura antyczna, wykopaliska Rzymu dawno minionej potęgi imperium. Opowiadając zapomniałam gdzie jestem, czasami brakowało słów, bo nie znałam dobrze języka rosyjskiego i - zaczynałam mówić po polsku. Naczelnik nie przerywał, palił bez przerwy papierosa i przyglądając się badawczo, słuchał. Staralam się nie patrzeć na słuchacza, wpadałam w zachwyt nad moją Ojczyzną i w rozpacz nad utraconym szczęśliwym dzieciństwem. Lzy cisnęły mi się do oczu, rozplakałam się. Wówczas mój przesładowca wstał, podszedł do mnie, uniosł moją głowę i swoją chusteczką począł wycierać łzy spływające po moich policzkach. Patrzył na mnie łagodnie i pocieszającym głosem mówił, że naprawdę nie jest moim wrogiem, żebym zapomniała o jego randze, że bardzo mi współczuje. „Jesteś delikatną dziewczyną, zginięsz w Lagrach, zdepczą ciebie, zagniotą, podumaj dziewczuszka, podumaj”, to mówiąc usiłował mnie przygarnąć do siebie, zerwałam się czując niebezpieczeństwo, wołałam przez łzy aby mnie wypuścił. Później leżałam na narach, a na pytania Marysi i pani Doroty odpowiadałam że byłam w Polsce.

Czas mijał powoli musieliśmy przyzwyczajać się do myśli, że musimy zakończyć swój opór. To, że zmuszeni byliśmy do przyjęcia dokumentów, które ponoć dawały prawo przebywania w Związku Radzieckim wbrew naszej woli, nie tylko doprowadzało do rozpacz, ale nawet śmieszyło. Dochodziły do nas wieści od Polaków z pobliskich osiedli, że nie można do tego dopuścić abyśmy zginęli w Lagrach, ale to nie podtrzymywało nas na duchu. Wydawało się nam, że los nasz już jest przesądzony. Pani Dorota odważna kobieta, patriotka powoli zalamywała się, wszak czekało na nią troje dzieci, które już raz zmuszona była pozostawić w drodze na Syberię i cudem je odnalazła. Ustaly przesłuchania, wkrótce wezwano naszą czwórkę razem i oznajmiono, że otrzymamy dokumenty z klauzulą stwierdzającą, iż jesteśmy cudzoziemcami, a na razie jesteśmy wolni i musimy wracać do kołchozu. Nie pamiętałam co wpisano obok naszych nazwisk, ale po latach przy wyjeździe do Polski, nie mieliśmy trudności. Naszą mamę uratowało zdjęcie z przedwojennej legitymacji, jakie zachowała przy obowiązkowym zdawaniu dokumentów. W dniu naszego wyjścia Polacy przebywający blisko rejonu, przyszli pod bramę więzienną. Ja jeszcze raz byłam wzywana przez naczelnika, który zupełnie poważnie złożył mi ofertę małżeńską. Bardzo grzecznie usiłował mnie wziąć w ramiona, a gdy odrzuciłam konkury, przekonywał, że zginę w złym świecie i że tylko on zdoła mnie obronić. Bardzo pragnęłam znaleźć się wśród swoich, daleko od mego „obroncy” w znienawidzonej rubaszce, przesiąkniętego tureckim tytoniem. Jeszcze usłyszałam, że za dwa tygodnie odwiedzi posesiadka - „podumaj dziewczuszka, podumaj”. Nareszcie byliśmy wśród rodaków. To były niezapomniane chwile. Nakarmili nas czym mogli, pamiętałam, iż nawet słońce wyszło zza chmur, a moje serce wołało, że mimo wszystko świat jest piękny. Odwiedzaliśmy po kolei lepianki, a byli w nich bliscy, bo niektórzy nawet z Kobrynia.

Rzeczywiście, wkrótce zjawiała się w posesiadku „czarna linuzyna” NKWD - strach wszystkich obleciał. Miałam polecenie stawić się przed oblicze naczelnika, ale ja uciekłam nad rzeczkę i schowałam się w zaroślach. Po odjeździe, Marysia przysłała po mnie, a ponie-

waż nikomu nie zwierzałam się z moich kłopotów, znowu w oczach rodaków urosłam na bohaterkę.

Krótki był czas naszego względnego spokoju. W pierwszych dniach grudnia 1943-go roku gruchnęła wieść: „Połączki” do „trud-armii” – szlak Karaganda.

Zegnaj Mamusiu – rozpoczynamy obie samodzielne hiedowanie

## IX

Grudzień roku 1943-go nie odznaczał się ostrym chłodem. Wprawdzie mróz wskazywał minus ponad 29 stopni, ale bezwietrzny, pozwalał oddychać do odświeżenia, nie zapierając tchu. Powieziono nas samochodami ciężarowymi do Akmoleńska, zabierając po drodze następujących. Czekały wagony towarowe bez dachów. Skład skazańców był międzynarodowy. W naszym wagonie oprócz mnie z Marysią, były jeszcze Polki – matka z córką, a było nas około trzydziestu osób – Moldawianie, Rumuni, Rosjanie. Czekałszy do zmroku na odjazd, marzliśmy strasznie. Obie okryłyśmy się koldrą, która miała już tyle dziur, że nie dawała ciepła. Nie wolno było wyjść na zewnątrz. Urządzaliśmy marsz wokół ścian wagonu. W godzinach wieczornych pociąg ruszył. Tym razem znaleźliśmy cel podróży – Karaganda miasto – obóz stu kopalni, z wzbromionym dostępem osób cywilnych. Podobno były specjalne przepustki dla stałych mieszkańców, ale wątpliwe czy ktoś tam był wolnym obywatelem. Długi skład wagonów powoli toczył się po stepie, a my słuchaliśmy opowieści. Niebawem mieliśmy się przekonać jaki to zakątek ziemi przeznaczono dla „wszystkich wrodzicieli Sowietckiego Sojuza”. Karaganda w języku Kirgizów znaczy „czarna krew” i jest oddalona od Akmoleńska tylko trzysta kilometrów, ale wieziono nas całą noc. Podczas długich licznych postojów otwierano wagony, ale nie pozwalano wyjść. Śnieg padał na nas i pewnie zasypałby nas całkowicie, gdybyśmy się nie ruszali. Przy kolejnym postoju zerwał się młody chłopiec, klnąc niesamowicie wyskoczył przez uchylone drzwi. Byliśmy pewni, że zaraz go złapią lub postrzelą. Zrobiło się cicho, pociąg nie ruszał, czekaliśmy. Wkrótce nasz współtowarzysz niedoli wdrapał się do wagonu, niosąc przed sobą spory pakunek. Były to pakiety nasiąknięte smarem, jakie powyciągał z kół wagonów. Kazał nam zrobić miejsce na środku i gdy ruszyliśmy w dalszą drogę, rozniecił ogień. Strzelił płomień do góry, nie było problemu z dymem, unosił się wysoko z braku dachu. Skupiliśmy się wokół ogniska by rozgrzać choćby ręce i twarze. Od razu poczuliśmy się rażniej, a gdy nasz bohater, młody Rosjanin, bawił nas swoim humorem, byliśmy mu bardzo wdzięczni za trochę ciepła i solidarnie nie wydaliliśmy winowajcy. W godzinach rannych, gdy już było prawie widno, nie mogliśmy siebie poznać. Wszyscy czarni oblepieni sadzą. Z hiciem serca musiałyśmy wyrzucić resztki atlasowej koldry, tak była okopconą. Ustawiono nas w szeregu i w towarzystwie konwojentów rozpoczął się marsz poprzez szare, puste ulice. Widzieliśmy dookoła tłące się zielonymi ogniskami haldy, wypełniające powietrze cuchnącym siarkowym gazem. Miasto jakby tonęło we mgle. Domy były mało widoczne. Górowały olbrzymie, czarne nasypy, a migocące ogniki słabo oświetlały ten węglowy świat. Nas poganiano byle prędzej i wkrótce ujrzelśmy za zabudowaniami nasze ziemianki. Do wnętrza schodziło się po schodach w dół, schylając głowę, a nad ziemią sterczały tylko dachy i wysoko szłyby kominowe. Marysia i ja znalazłyśmy się wśród obcych, to też z radością usłyszałyśmy głos „witajcie dziewczęta”. Przed nami stały dwie starsze panie, zaraz chciały nas umieścić koło siebie, ale już wskazano nam prycze przy wejściu. Każdy nowy otrzymywał gorsze miejsce do spania – taki był porządek. Dano nam koce, w których, gdy się schylałam, widziałam mocno wbite odwłoki wszy. Nary rozmieszczone były po obu stronach obszer-

nej izby, po środku między palami, które podtrzymywały dach, ciągnęło się wąskie przejście. Pamiętam, że skierowano nas do bani (łazienki), gdzie dano po kawałku mydła i ściereczkę. Starsza kobieta obsługująca kąpiących się, szepnęła na ucho, żebyśmy zawsze byli obie razem, nigdy oddzielnie.

Początkowo przydzielono nas do pracy w kopalni. Siostra śmiało zniknęła z innymi w przejściu prowadzącym pod ziemię. Mnie prześladował paniczny strach. Stałam nad czarną czeluścią, już byłam ostatnia i nie mogłam się przemóc. Strasznie płakałam i gdy brygadier usłyszał moje łkania, był tak łaskawy, że pozostawił mnie na powierzchni przy taśmice, gdzie musiałam szuflą odczuwać wciąż dostarczany węgiel. Dzienna norma pięć ton i za wykonanie tej normy otrzymywałam czterysta gram chleba, ale ten chleb musiałam oddać brygadierowi za przydzielenie mnie do lżejszej pracy.

To były trudne dni, a każdy dzień wypełniony trwogą, czy Marysia wróci spod ziemi. Nigdy nie wracało tylu ile zeszło. Ludzie w kopalniach ginęli masowo. Przeważnie jeńcy niemieccy. Siostra otrzymywała kilogram chleba, dzieliła się ze mną. Starsze panie również wykładały mi do reki kawał suchara, a ja nienawidziłam siebie za swoje mazgajstwo. Widocznie nie mieli z nas wielkiej korzyści, bo mniej więcej po tygodniu według „przykazu” posłano nas „na strojku” - do budownictwa. Dzień pracy rozpoczynał się również o godz. 6-tej. Wchodziliśmy w zabudowane ulice w zwiartym szeregu. Prześladował nas swąd siarki. Na miejscu dawano „kpiatok” i codzienną rację chleba. Najrozsądniej było pół tej porcji przechować na kolację, ale to było bardzo trudne. Marysia zwykle dawała mi nie dojedzoną kromkę, abym schowała „za pazuchę” - wkrótce nie było mowy, żeby go skubnąć - zamarzał na kamień. Na obiad przywożono zapę. Zawsze żalowałyśmy, że nie ma codziennie „łapszy”, bo kluski były bardziej syte. Jak już wspomniałam, budowaliśmy domy w Karagandzie. Stawiano podwójne ścianki z desek, a próżnię między deskami zasypywano piaskiem lub zwykłą ziemią. Do nas należało aby tą ziemię domieść na nosilkach i wysypać. Było to dość niebezpieczne, bo w miarę wzrostu domu, szło się po oblodzonych trapach i łatwo można było spaść. Strach przed upadkiem był podwójny, bo przyczyniłabym się również do kalectwa siostry, pociągając ją wraz z nosilkami. Ręce i nogi odmawiały posłuszeństwa, bo lodowaciały z chłodu a dzień chłodny był taki długi. Wróciliśmy w grudniowym zmroku głodne, zmarznięte i zmęczone. Pamiętam jak byliśmy straszliwie wyobcowane, nigdy nie miałyśmy spokoju, bo towarzyszyły nam wówczas pluskwy i wszy. Zbliżało się Boże Narodzenie. Marysia nalegała, aby sprzedać moją jedyną sukienkę, przerobioną przez mamę z mundurka szkolnego. Trudno mi było rozstać się z taką pamiątką, ale głód zmusił. Wyruszyliśmy na bazar w dniu wolnym od pracy to znaczy w niedzielę. Pamiętam wielkie skupisko ludzi, uzbekie kobiety w kolorowych sukniach oferujące własny wypiek - „lepioszki”, „para lebiezdi, tuka piac” - wołały, co miało znaczyć „jedna sztuka pięć rubli, a para dziewięć rubli”. Siedziały na ziemi, co chwila przekładały placki i głośno zachwalały swój towar. Handel kwitł. Sprzedawcy potrzęsali gumowymi butami, walcami, kozuchami, warowanymi kufajkami. Każdy pilnował swojej własności, a gdy zauważył złodzieja kradnącego obok, przeważnie odwracał się, bo gdyby podniósł głos, wołając na sąsiada, mógłby zostać kałką. Zniemacka dostałby po oczach brzytwa - „wiesz, bolsze nie uwidzisz” (wiesz, więcej nie zobaczysz). Grasowały całe gangi, solidarnie mścili się za kolegów, wprowadzając bezprawie. Pachniały nam te „lepioszki”, snułyśmy się wśród tłumu, lecz nie było chętnych na moją sukienkę. Naraz Marysia schyliła się i podniosła żółty beret. Strach nas obleciał, by ludzie nie pomyśleli żeśmy ukradły. Uciekłyśmy na drugi koniec bazaru, gdzie na stołach sprzedawano w szklankach po musztardzie drobną cebulę, miękę i kaszę z prosa. Tam zaczęłyśmy proponować kobietom kupno beretu. Szybko pozbyłyśmy się go, niosąc w zamian szklankę prosa i szklankę cebulki. Byłyśmy szczęśliwe, zrobimy sobie kolację. Zdobycz należało podzielić na dwa razy, bo jutro przypadała wigilia. Zawsze to lżej, gdy w tak uroczysty wieczór nie będziesz tak straszliwie głodny. W tamtych dniach było szczególnie ciężko i smutno, bo oto przy przeliczaniu nas, zabrakło jednego. Zarządzono alarm, sprawdzano trasę drogi, jaką prowadzono nas do



pracy. Przechodziliśmy zwykle koło piekarni, a zapach chleba zmuszał nas do zwalniania marszu, aby jak najdłużej „najeść się” zapachem – pooddychać chlebem. Znalezione niedaleko brakującego chłopa. Przywarł do zaspy śniegu obok piekarni. Zanim zamarł śnił mu się chyba chleb, który był tak blisko. W tamtym dniu było ciszej w ziemiance, zapewne wszyscy odczuwali smutek. Nawet nie było żadnej bójki pomiędzy dziewczętami, ani okropnych wyzwisk, jakimi zwykle obrzucały się nawzajem.

W dzień wigilijny nasza praca przedłużyła się – nie wykonaliśmy normy. Było nas pięć takich spóźniałskich. Rosjanka, żydówka, madam Taku – matka rumuńskiego uczonego matematyka i my, dwie polskie dziewczyny. W drodze powrotnej, która była dość długa, bo nasze ziemianki znajdowały się poza miastem, zaczął prosić śnieg, a wiatr czynił zamieć. Zupełnie się ściemniło, zawieja śnieżna przybierała na sile. Zbliżał się „burian”. Znalazłyśmy się z daleka od domów i krążąc, straciłyśmy drogę. Zabłądziłyśmy. Coraz większy wiatr z klującymi od mrozu płatkami śniegu utrudniał marsz. W pewnym momencie zdałyśmy sobie sprawę z naszej groźnej sytuacji. Dość często były ofiary syberyjskiej zamieci i dopiero na wiosnę topniejący śnieg odkrywał ludzkie tragedie. Skupiłyśmy się w gromadkę, madam Taku zaczęła się modlić, podtrzymywała nas na duchu jak zwykle, ale w głowach naszych tknęły się straszliwe myśli. Coraz bardziej zasypywał nas zamarznięty śnieg. Ubrania nasze stały się sztywne, nawet nie mogłyśmy kucnąć – marznąć, tuliłyśmy się do siebie. Stała mi w oczach bieda naszych ostatnich dni. Dziś wigilia, zostawiłyśmy sobie pół szklanki prosa i tyleż cebulek. I oto teraz nie zrobimy sobie kolacji. Myśli mieszały się w głowie..., dom..., choinka..., prezenty..., tatus bierze opłatek..., taki biały, wszędzie biało. Chyba już zasypiałam, naraz poczułam silne szarpnięcie. To moja siostra zerwała się z krzykiem, że nie chce umierać i zniknęła w zamieci. Chciałam biec, ale już nie miałam sił. Naraz usłyszałyśmy głosy, to ludzie szli z pomocą. Okalało się, że parę kroków od nas była obora z krowami, do której trafiła Marysia w zamieci śnieżnej. Wprowadzili nas pod dach. Po środku stał piec z buzującym ogniem, dookoła przy żłobach stało bydło. Było ciepło, nasza mokra odzież parowała. Dali nam gorącej wody do popicia i miejsce przy piecu. Madam Taku odmawiała różaniec, jej rozgrzane palce przesuwały koraliki. My, przytulone do siebie, płakałyśmy. Wieczór wigilijny miałyśmy przy prawdziwym żłobie z przeżuwającymi krowami. Wszystko nam zostało odebrane, ale podarowano nam życie w osiemnastą i dziewiętnastą wigilię naszego dziewięcącego wieku.

## X

Mijał miesiąc grudzień 1943-go roku. Po kilkutygodniowym naszym pobycie w Karagandzie w naszej ziemiance zjawił się nieoczekiwanie gość z brodą. Był to mężczyzna dość wysoki i dobrze zbudowany. Zia zarostu twarzy patrzyły młode, życzliwe oczy. Uwagę zwracała schludność jego ubioru. Po przekroczeniu progu, zwrócił na nas uwagę: „Dziewoczki ad kuda wy” – dziewczynki skąd jesteście. Zaraz wyszedł, by za chwilę wrócić po nas. Nie wiem kto to był ten nasz dobrodziej, pamiętam tylko, że zaprowadził nas do prawdziwego pokoju z drewnianą podłogą i z prawdziwymi łózkami. Od tamtej chwili razem z nami mieszkało tam sześć dziewcząt. Było czysto i ciepło. Nowe kołczanki, Rosjanki, były schludne i miłe. Pomogły nam się umyć i pamiętam, że bez przerwy śpiewały. Ostatnio było tak ciężko, stale. Oglądałyśmy bójki kobiet i słyszałyśmy wyzwiska, którymi obrażały siebie nawzajem, to też nie mogłyśmy uwierzyć szczęściu jakie nas spotkało. W dodatku na jednej ze ścian wisiała gitara, której tak mi było brak. Także dziękowałam Matce Najświętszej – to był widoczny znak Jej opieki. Nasz Dobrodziej prawie codziennie zaglądał do nas, bo wśród Rosjanek miał swoją dziewczynę.

Brał wówczas gitarę, grał i śpiewał piękne rosyjskie ballady. Opiekował się nami, przynosił mydło, o które było tak ciężko. Pewnego wieczora nie zjawił się, minął nie jeden wieczór, a naszego miłego gościa nie widziałyśmy. Plakała dziewczyna, a my również, bo oto doszła wieść, że był szpiegiem i został aresztowany. Długo nie mogłyśmy o nim zapomnieć, a ja, gdy dziś wspominam, zdaję sobie sprawę, że ludzie o tak dobrym sercu, nie mieli racji bytu w tym nieludzkim kraju.

Pracowałyśmy nadal przy budowie. Mróz dawał się we znaki przy braku odpowiedniej odzieży. Marysia nosiła ojcowskie buty z cholewami, nogi owijała szmatami, ale to nie chroniło przed chłodem. Ja miałam na sobie gimnazjalny paltocik, z którego wyrusłam i często było tak, że gdy trafił się jakiś starszy „dziadzia Wania”, to stale nas pędził do ognia, żebyśmy się ogrzały. Z biegiem czasu traktowali nas jak dzieci. Pewnego dnia naczelnik odwiedził budowę. Był to Żyd z Polski. Wezwał nas do siebie i obiecał, że zaopiekuje się nami. Oto wkrótce zostanie uruchomiona stołówka i zatrudni nas jako kelnerki. Po kilku dniach zostałyśmy skierowane na badania lekarskie. Ku naszej rozpaczycy okazało się, że Marysia ma świerzb. Po kryjomu musiałam smarować jej brzuch okropną czarną, dziegciową mascią, gdyż baliśmy się, że nas dziewczęta wypędzą, z pokoju. Pamiętam w jakim niepokoju żyłyśmy ze swoją tajemnicą. W przeciągu tygodnia udało się wyleczyć krosty. Otrzymałyśmy karty zdrowia. Jakże dziękowałam Bogu za opiekę.

Oto zaczęłyśmy pracować pod dachem, w ciepłe. Nasze sine nogi i ręce powoli dochodziły do zwykłego wyglądu. Stołówka mieściła się poza miastem w „Zapadnom Posielku”. Musiałyśmy zamieszkać obok w baraku. Praca rozpoczynała się daleko przed świtem. Obie sprzątałyśmy wielką salę i pomagałyśmy w kuchni. Stołowali się kilkaset ludzi, około czterystu. Śniadanie - chleb każdemu do ręki podawała tzw. bufetowa. Wszystkie porcje były wazone, przygotowane wcześniej. Waga stała obok i na życzenie należało na oczach wszystkich skontrolować wagę. Do chleba kpiątek. W południe obiad, zupy przeważnie z zamrożonych zielonych pomidorów, zagęszczone kilkoma krupami kaszy. Drugie danie - łyżka kaszy i trzy, cztery kawałeczki mięsa (przeważnie konina) wielkości paznokcia. Było jeszcze tzw. „dopomocilnoje” (czyli „dodatkowe”) - dla tych, którzy przekraczali normę - również kaszą, lub gotowane zmrożone ziemniaki - jedna łyżka i trzy takie same kawałeczki mięsa. Kolacja - kpiątek. Do dziś pamiętam ten głodny, zmrożony tłum w hałmanach, gutów na wszystko by więcej zjeść. Rozliczałyśmy się z każdej porcji, wydanej na kupony, za które odpowiadałyśmy. Każdy podawał swoją kartkę i należało delikatnie odrywać palcami małe numerki. Trzeba było na każdym kroku uważać, bo co chwila widziało się tylko brudną rękę i już brakowało porcji. Naczynia, były to tzw. „czekuszki” - miski gliniane. Dania obiadowe wyglądały w nich jak przysłowiowa „kropla w morzu”. Każdy miał swoją drewnianą łyżkę. Po obiedzie chował ją oblizaną za pazuchę. Brygadierzy wówczas energicznie wypędzali stolowników bo za progiem czekali następni. Ciężko pracowałyśmy. Nicraz musiałyśmy oddać swój obiad, bo okradziono nas w czasie podawania. Po drugiej stronie, za kuchnią, mieścił się pokój tzw. „Bierowski”. Tam jadał naczelnicy. Zupy bardziej jadalne, biały chleb, porcje o wiele większe. „Naczalstwo” - sama kultura, nawet wieszaki służyły do wierzchniego ubrania. Obsługiwał ich kucharz - był Niemcem z pochodzenia. Przysadzisty, dość tegi i okropnie ospowaty. Był dla nas dziewcząt dość grzeczny. Podobało nam się to, że przed wydaniem obiadu kazał siadać i karmił nas, twierdząc że nie możemy wydawać, będąc same głodne. Porcje przygotowane dla nas były skąpe i nie najadałyśmy się. Pilnował nas później, byśmy czegoś nie uszczknęły. Natomiast swoją Julię karmił specjalami, takimi jak naczelników. Julia była jego dziewczyną również dość przysadzista, grubiutka, miała ładne niebieskie oczy, piegi na nosie i stale przyklejony uśmiech. Nie darzyliśmy obie jej sympatią, chociażby dlatego, że nie przyznawała się do narodowości, a przecież samo imię wskazywało, że jest Polką. Kiedy Julia przyszła, nasz kucharz był bardzo zajęty, a jedna z nas „posudoniejka” - myjąca naczynia, zawsze zadbała o to, byśmy po obiedzie miały coś do jedzenia. Przechodząc obok garnków, sprytnie nakładała kaszę do miski, głośno przy tym śpiewając. Zdobycz chowając pod

fartuchem wstawiała do popielnika. My po takiej akcji od razu miałyśmy lepsze humory. Po wyjściu kucharza, siadałyśmy dookoła „czekuszki” i jadłyśmy skradzioną kaszę z wielkim apetytem, przy wtórze śmiechu. Nasza „posudomajka” była młodą kobietą, żydówką żoną oficera walczącego na froncie, a że był pochodzenia niemieckiego, całą rodzinę wywiezli z rodzinnego Baku do Karagandy. Bacia była bardzo miłą grzeczną koleżanką. Czuli się samotnie przy rodzinie swego męża, to też wiele czasu spędzała z nami w stołówce, gdzie było ciepło i widziała w nas życzliwe dla niej serca. Do dziś pamiętam, jak mała, filigranowa, o jasnych włosach i niebieskich oczach krążyła po kuchni i sprytnie zapewniała nam zawsze coś do podjedzenia. Gdy słyszałyśmy jej za głośny śpiew, już wiedziałyśmy że Bacia jest w akcji. Po za nią były jeszcze dwie młode rosyjskie dziewczyny i jedna starsza. Co parę dni musiałyśmy we dwie pełnić dyżur w kuchni w nocy. Należało wyczyścić piec, podtrzymać ogień do rana, wysprzątać kuchnię i dużą salę jadalną, obrać dwa wiadra ziemniaków i na godzinę 6-tą ugotować kocioł wody. Zamrożone ziemniaki zalewano się wodą i już prawie miękkie czyściło. Po ugotowaniu miały słodkawy smak.

Pewnego razu, późnym wieczorem zapukała do nas kobieta, Ukrainka, którą znałyśmy jeszcze z posesiolka. W tymże kolchozie poznaliśmy niejakiemu pana Sienkiewicza, Polaka skazanego na Syberię. Pochodził z Mińska. Bardzo przypominał szlachcica z „Pana Tadeusza” - wysoki, o szerokich barach i sumiastych włosach, no i to nazwisko... Od razu stał się dla nas bliiski, coraz lepiej przy nas rozmawiał po polsku. Lubił przebywać z młodzieżą, mówił „wasze matki stałe płaczą, a ja już dosyć się napłakałem”. Lubiliśmy pana Sienkiewicza. Marzył, że wróci z nami do Polski. Odebrano mu gospodarstwo, skazano na przymusowe przesiedlenie nie pozwalając zabrać rodziny. Miał za sobą parę lat Lagru i nie lubił o tym mówić. Mieszkał z kobietą, Ukrainką, która nie patrzyła na nas przyjaznym okiem, może dlatego, że wieczory spędzała samotnie. Az przyszło nieszczęście. Pan Sienkiewicz pracował na kosiarce i w czasie burzy został trafiony piorunem. Płakaliśmy po nim wszyscy. Kobietę, u której mieszkał spotkałyśmy w Karagandzie. Stała teraz przy okienku, które otworzyłyśmy na jej pukanie. Weńskala nam swój kociołek z garścią mąki, prosząc o parę ziemniaków. Bardzo dawno nie jadłyśmy kluszek, pokusa była wielka, a ona prosiła, twierdząc że ma sporo mąki i ma ochotę na kartofle. Spełniłyśmy jej prośbę, a sianie zagniotłyśmy ciasto z wodą i solą i upiekłyśmy na blasze kuchennej placki. Bardzo nam smakowały.

Rano energiczne kołatanie do drzwi - wtargnęło całe „naczalstwo” z Ukrainką, która trzymając swój kociołek z ziemniakami, oskarżała nas o złodziejstwo. Stałyśmy jak skamieniałe, nie mając nic na swoje usprawiedliwienie. Bardzo głośno sporządzono protokół, byłyśmy pewne że zaraz nas zabiorą, ale w tym dniu pełniłyśmy jak zwykle swoje obowiązki. Przeszło kilka dni i nic się nie stało, pozostawiono nas w spokoju, a ja jeszcze raz dziękowałam Bogu za opiekę. Tak upływał nam czas. Już nie marzyłyśmy straszliwie i z



*Razem z siostrą Marysią - Karaganda 1944.*

wyżywieniem było lepiej, chociaż stale odczuwaliśmy podświadomie głód i brak snu. Otrzymywałyśmy simutne listy od mamy, że jest im ciężko, że głodują, a my nie mogłyśmy pomóc. Coraz bardziej wątpiliśmy w to, że kiedykolwiek zobaczymy naszą mamę i braciśzka. Wszystkich, których spotykaliśmy, byli bez rodzin, rozłączeni z najbliższymi, często nie wiedzieli nic o sobie. Musiały wystarczać listy, widoczny znak że jeszcze żyjemy.

Pewnego dnia spotkało nas znowu nieszczęście. Moja siostra, jak zwykle prędką i buntowniczą, głośno i dość niegrzecznie wykrzykiwała, by tak się mocno nie dobijali do drzwi, gdyż i tak przed czasem im nie otworzy. Może ten wybryk przeszedłby bez echa, gdyby nie miała pomalowanych ust. Wyrzasnęła skądś czerwona, bibułkę i zrobiła się na bóstwo, a że była uczesana, czysto ubrana i naprawdę bardzo ładna, tłum ludzi zhamował się. Złożono skargę, że „burżujki” w stołówce nie chcą widzieć. Grozili nawet pobiciem. Moją siostrę wyrzucili ze stołówki. Już od jutra szła na budowę. Głodna i zmarznięta. Rozpacz moja nie miała granic. Nawet nie mogłam jej podać podwójnej porcji. Po pracy biegłam szybko do Marysi, bo na brzuchu niosłam gorącą kaszę, a tak sprytnie musiałam ją nakarmić, żeby nikt nie zauważył. Czasami złość mnie brała, stałe się ktoś kolo niej kręcił. Była piękna dziewczyną - jasne włosy, ciemne oczy. Wówczas nawet nie przypuszczałam ile mnie czeka trosk i zmartwień przez moją jedyną kochaną młodszą siostrę, za którą zawsze czułam się odpowiedzialna. Wprawdzie była posłuszną, słuchała, ale pamiętam jak z góry patrzyła na mnie, a ja musiałam zadzierać głowę (była wyższa ode mnie) i tłumaczyć, tłumaczyć...

## XI

Najbardziej pamiętam z tego okresu, pracując w stołówce, że nie byłam głodna. Kto nie przeżył głodu, ten nie ma wyobrażenia jak człowiek jest uzależniony od uczucia głodu. Wszystkie myśli i modlitwy skupiają się wówczas na tym, żeby zjeść kawałek chleba. To nie były marzenia, tzw. „przedwojenne”, kiedy kromeczek świeżego chleba lub bułeczki musiała być cieniutką, pachnącą z masłem, z szyneczka a najlepiej z wędliną. Tu pragnęliśmy kawałka chleba, który był symbolem sytości. Pamiętam francuskie przysłowie „To jest tak długie, jak dzień bez chleba”. Prawdziwość tego poznałam na bezkresnych stepach Syberii. Tam w Karagandzie z biegiem czasu zagubiłam uczucie głodu. Moje myśli zataczały coraz większe kręgi, naraz poczułam się dorosła, naraz postanowiłam już więcej nie płakać za mamą, za utraconym szczęśliwym dzieciństwem, bo ono już nigdy nie wróci. A czy my wrócimy? Byliśmy we dwie wśród strasznie obcych ludzi. Po polsku mogłyśmy mówić tylko ze sobą, a było tak mało czasu przebywania razem. Maja siostrą całymi dniami gdzieś na mrozie, a ja zawsze w pośpiechu przemierzałam biegiem stołówkę, by wypełnić poprawnie swoje obowiązki. Z czasem byłam znana z tego, że wszystkiemu podolałam, a bardzo się starałam, najbardziej dlatego, by nie utracić miejsca pracy, gdzie po kryjomu mogłam dokarmiać moją siostrę. Stołówka nasza mieściła się na „Zapadnym Posiołku”, czyli w zachodnim osiedlu Karagandy. Obok niedaleko rozciągała się „zona” obóz jeńców niemieckich. Żyli w ściśle zamkniętym obszarze. Widziałam ich drepających do pracy do kopalni, z których powracali codziennie w zmniejszonej ilości, pracując w niezabezpieczonych korytarzach pod ziemią. Szli w podartych wojskowych płaszczach, najczęściej w drewniakach, z pochylonymi głowami, jakże dalecy od entuzjazmu dla swojego wozda. Obok rósł szereg krzyży, znaczących groby kolegów. Zaskakiwał nas geometryczny rząd mogił na stepie, gdzie nieznanie było uporządkowanie świata umarłych. Czasami przez okna widziałam Japończyków, również jeńców. Pracowali przeważnie na powierzchni przy sprzątaniu terenu lub przy budowie. Ci również byli pochyleni, zdawałoby się pokorni, ale z pracy ich nie było

zadnej korzyści. Kiedyś obserwowałam jak we dwójkę piłowali drzewo. Ruchy jakie wykonywali były jak na filmie w zwolnionym tempie, ale widocznie mogli sobie na to pozwolić, bo przede wszystkim nie marzli. Mieli na sobie ocieplane kombinczony, wielkie czapy, wymyślnie obuwie i ciepłe skarpety, które zapamiętałam najbardziej. Wymieniali je za kawałek chleba. Skarpety te były w kształcie kieszki, bez pięt, a nosiły się znakomicie, nie filcowaly się i chroniły przed chłodem. Nie wiem dlaczego wyróżniali nas obce, nazywali „madam polonczka” i chylili głowy z uśmiechem. Często usiłowali z nami mówić na tugi. Pamiętam piękne zdjęcia, jakie pokazywali, na których były żony i dzieci w kimonach wśród kwitnących drzew. Z biegiem czasu wyzbywali się swojej odzieży za chleb i jak przyszła druga zima również ich dzieciątkowała. W naszej stołówce żywiono ludzi skazanych na przymusowa roboty w trud-armii i my należeliśmy do nich. Jeńcy wojenni byli prowadzeni przez uzbrojonych strażników. Początkowo my również podlegaliśmy takiemu porządkowi, ale z czasem zaniechano pilnowania i byliśmy w miarę swobodni, oczywiście bez prawa wyjazdu. Karaganda była miastem - obozem zamkniętym. Spotykaliśmy różne narodowości - Ukraińców, Rumunów, Czeczeńców i Inguśów zza Kaukazu, Polaków, Bułgarów, Żydów i obywateli tych ziem Kazachów oraz Rosjan. Obok stołówki znajdowała się jednostka wojskowa, która była zatrudniona przy niemieckiej „zonie”. Żołnierze pełnili dyżury na wieżach, rozmieszczonych po czterech rogach. Teren był ogrodzony gęstym drutem kolczastym a w nocy silnie oświetlony. Dowództwo tej jednostki miało również pieczę nad swoimi kolegami wojskowymi, którzy mieli nieszczęście trafić w czasie działań wojennych na stronę nieprzyjaciela. Takich „po wyzwoleniu” ojczyzna skazywała na zsyłkę w daleką Syberię, jako niepewny element. Skazancy ci przeżywali tragedię, nie mogli pogodzić się z myślą, że stracono do nich zaufanie. Często byli inwalidami wojennymi, a oficerowie wykorzystywali broń, jaką im pozostawiano, kończąc ze sobą. Tak mnożyły się samobójstwa, ginęli żołnierze daleko od linii frontu, pozbawieni rodzin i wiary w swoją ojczyznę.

Godne pozawołania były młode dziewczęta, najczęściej Rosjanki. Zmobilizowane do trud-armii cierpiały głód i chłód, a pozbawione wszelkich zasad moralnych, służyły mężczyznom swoim ciałem. Jeżeli zachodziły w ciążę, nie było rozpaczami troski o mające się narodzić dziecko. Najważniejsze było to, że taką dziewczyną była zwalniana z Karagandy z pozwoleniem powrotu do domu, do rodziców. Trud-armia to miejsce dla dorosłych, nawet od lat szesnastu. Przez kilka lat nie widziałam małego dziecka, bo żłobków czy przedszkoli nie było. W naszej stołówce często zmieniano kierownictwo. Pewnego dnia ujrzelśmy młodego człowieka, który bardzo energicznie akcentował swoją władzę nad nami. Może czuł się prawdziwym obywatelem tej ziemi, bo był azjata - kazachem. Był ciemnowłosy skośnooki i wtrew swojemu rodowodowi, nawet wysoki. Dość starannie ubrany, raczej przystojny, ale groźny. Po kilku dniach zauważył Marysię i oczywiście bardzo mu się spodobała, a że miał szerokie możliwości, z miejsca postarał się o zatrudnienie jej w kuchni jako sprzątaczkę. Wielokrotnie podkreślał swoje dobrodziejstwo wobec Marysi, a pragnąc podkreślić swoje zwierzchnictwo, zarządził, aby codziennie dodatkowo czyściła jego buty z cholewami. Te nieszczęsne buty sprawiły, że moja siostra nie mogła na niego patrzeć, ale widząc, że wodzi za nią wzrokiem, zaczęła się przekomarzać. Cieszyłam się, że znowu jest blisko mnie, pracuje w ciepłe, ale coraz bardziej martwiłam się unizgami kierownika. Pewnego dnia oświadczył nam wszystkim, że zaprasza cały personel na kolację. Ucztować mieliśmy na terenie stołówki, obok kuchni. Ku mojej zgrozie spostrzegłam na stole kilka butelek wódki i szklanki po musztardzie w charakterze kieliszków. Dziewczęta bawiły się doskonale, Marysia poweselała, obok niej nadskakujący kierownik, a tu trzeba pić wódkę, nie wolno odmawiać. Swoją kolejkę wylewalam pod stół, widziałam że obserwuje mnie Becia, czułam jej sprzyjający wzrok, rozumiałyśmy się bez słów. Zuana byłam jako poważna dziewczyna i wielokrotnie oświadczałam kierownikowi, że jestem starszą siostrą Marysi i że ponoszę odpowiedzialność za nią. Wielbiciel Marysi zgadzał się ze mną, ale po wypiciu alkoholu zaczął śmiało się zachowywać. Wówczas wstałam od stołu z wielką awanturą, już było mi obojętne czy wyrzucą mnie z

pracy. Chwyciłam siostrę w pól i zaczęłam krzyczeć, że nigdy nie pozwolę na złe zachowanie wobec nas. Stała się rzecz zadziwiająca, ku zdumieniu wszystkich obecnych - oto groźny kierownik grzecznie i z przeprosinami zwrócił się do mnie, jako do starszej siostry, o pozwolenie na małżeństwo. „Ja oczęń lublu Marysiu i chaczu ženitsa” - (bardzo Kocham Marysie i chce się z nią ożenić). tłumaczyłam, że nie mogę decydować o losie siostry, że jesteśmy same bez ojca i matki. Nie pomogły żadne argumenty. Tak się przejął naszym losem i trudnościami, z powodu których nie może dojść do małżeństwa, że postanowił uzyskać pozwolenie na przyjazd naszej mamy. Po kilku dniach otrzymałam dokument z wieloma pieczętkami i zapewnieniem, że nasza rodzina się połączy. Mimo wszystko nie wierzylismy - Karaganda, miasto - oboz było zamknięte. Nawet stali mieszkańcy nie byli wolnymi obywatelami, a jednocześnie bałysmy się, bo gdyby nawet spełniły się nasze marzenia, to jak się pozbyć konkurenta?

Stało się. Mama z bratem wkrótce przyjechali. Radości nie było końca. Nareszcie jesteśmy razem. Oboje wynędzniali. Mama schorowana, a z małego Tadzia wyrósł nastolatek w przykrótkich portkach.

Dosłownie po kilku dniach nasz kierownik otrzymał „powiastku” - powołanie do wojska na front. Pamiętam jak płakał, gdy odjeżdżał na wszystko błagał Marysię, mając ją za swoją narzeczoną, aby czekała na niego. Naszą mamę zatrudniono jako praczkę. Ciężka to była praca, oparta tylko na rękach, to też nieraz pomagałyśmy mamie, aby nie stracić „dobrej roboty”, a można było tak ją nazwać, bo mieliśmy gorącą wodę i mydło. Brat, jako nastolatek, rozpoczął pracę w kopalni.

Byliśmy wreszcie razem.

## XII

Śmię dziś dalsze wspomnienia z syberyjskiej zsyłki wieku dwudziestego. Ja, jednostką naszego Narodu, ja żyjący świadek martyrologii drugiej wojny światowej. Czy mogę siebie tak nazywać? Czy mogę zająć miejsce w morzu tragedii naszej historii. Sama śmiem zapewnić sobie to miejsce, jako drugie pokolenie ojców, którzy ponieśli śmierć męczeńską, za Ojczyznę, a ich rodziny skazano na głód, poniewierkę daleko od kraju.

Mijał czwarty rok naszego wygnania. Jak już wspomniałam rodzina nasza połączyła się przedziwnym splotem wydarzeń. Otrzymaliśmy oddzielny pokój, a moja mama, posiadając pewne umiejętności przekonywania władzy, wkrótce ką pralniczy zamieniła w prawdziwą pralnię z kilkoma dziewczętami do pomocy. Kuchnia w stolówce jaśniała w białych fartuchach, „naczalstwo” zadowolone, a mama czuła się coraz pewniej jako „brygadier”. Znośnie nam teraz było i wstąpiła nowa nadzieja. Zaczęły krążyć pogłoski o tym, że jednak nas zesłańców czeka lepsza przyszłość, a może nawet powrót do ojczyzny. Powstał Związek Patriotów Polskich, a silna propaganda z Wandą Wasilewską, na czele wręcz zapewniała o słusznej sprawie Polaków, którzy muszą włączyć się do pogromu wrogów. Znowu staliśmy się sojusznikami i znowu szli nasi chłopcy na front, wszak samo nazwisko Tadeusza Kościuszki mobilizowało, wszak jesteśmy spadkobiercami historii - zapewniano nas. Karaganda mały punkt na mapie świata - byliśmy bardzo daleko od wydarzeń politycznych na świecie. Wiadomości docierały wielce opóźnione, lub wcale nie docierały. Nasi chłopcy już dawno zostali zmobilizowani do Armii Andersa, szczęśliwym trafem znaleźli się za granicą i tam przelewają krew, a ty każą nam traktować ich jak wrogów. Byliśmy zdezorientowani, daleko od swoich rodaków. Tkwiłsmy wśród kopalni syberyjskich, czekając na tę jedyną chwilę, na chwilę powrotu, w którą staraliśmy się nie wątpić.

W stolówce naszej zaszły zmiany. Oto po zmobilizowaniu kierownika, słynnego wielbi-

ciela Marysi, awansowała na to stanowisko „Katia”. Była to typowa konsomolka, sprawująca dotychczas rolę bufetowej. Taka bufetowa rozdzielająca chleb reprezentowała nieco wyższy szczebel w hierarchii karagandzkiej. Nie wiem w jaki sposób znalazła się wśród skazanych takich jak my, natomiast doskonale pamiętam jej wyższość nad nami, jako konsomolki. I oto „Katia” awansowała, gdyż stała się wielce osobistą przyjaciółką naczelnika. Od pewnego czasu tym naczelnikiem był człowiek o nazwisku Pruszyński. Poza nazwiskiem nic miał nie wspólnego z Polską. Pamiętam go jako tegiego mężczyznę o brutalnym i prostym obyciu. Był postrachem młodych dziewcząt. Często pozostawał na noc na terenie budowy w swoim pokoju i sprowadzał do siebie „dziewczynki”, aby się rozweselić. Wśród nas była bardzo młoda dziewczyna, Rosjanka, prawie dziecko. Zmobilizowana do trud armii, zabrana od matki, widocznie bardzo przeżyła rozłąkę z bliskimi, bo krążyła jak widmo i stale powtarzała, że chce do mamy. Wszyscy ją żalowali. Z biegiem czasu „Nadzia” z dziecka przemieniła się w zgrabną dziewczynę o zaokrąglonych kształtach, a jej wdzięcznym nakryciem głowy był granatowy берет, który nosiła bez względu na pogodę. Otóż Nadzia którejś nocy stuknęła natarczywie do drzwi stołówki podczas mojego dyżuru. Wpadła z nieprzytomnym wrzaskiem, z rozwianym włosiem, w poszarpanej sukience, wołając bez przerwy: „Ja udrnęła, ja udrnęła, astawiła bieretku” - (ucięłam, ucięłam, zostawiłam берет). Jakże było żal tego dziewczęcia. Przytuliłam ją, posadziłam w ciepło, a to dziecko płakało i płakało. Taki był nasz naczelnik. Jeszcze dziś pamiętam jak nie mogłam mu wybaczyć polskiego nazwiska. Otóż nasza Katia konsomolka trafiła w objęcia naczelnika, a że była sprytna, awansowała na kierowniczkę. Wprawdzie nie trwało to długo, bo jako dziewczyna w ciąży, została zwolniona z Karagandy i wyjechała do domu. W takich okolicznościach, z braku personelu, zostałam bufetową. To był awans, ale równocześnie nawał odpowiedzialnej pracy, gdyż byłam nie nie znaczącą jednostką. Codziennie o godzinie 3-ej nad ranem z wozakiem i jego wozem zaprzężonym w chudą szakapinę, musiałam zgłaszać się w piekarni po odbiór chleba. Następnie bochny chleba należało odpowiednio krajać i ważyć po czterysta gram. Pieczywo otrzymywałam jeszcze gorące, po wyparowaniu do godziny 6-tej zawsze traciło na wadze. Gdy wchodził rano tłum, porcje czekały gotowe do rozdania. Do dziś pamiętam wynędzniałe twarze i zglodniałe oczy, obserwujące każdy ruch. Podejrzana kromkę musiałam natychmiast ważyć na oczach wszystkich i biada gdyby była niedowazona. W pierwszych dniach nie mogłam podolać, stąd brakowało chleba, dopiero nasza „pasudomejka” Becia poradziła mi, bym kruszynę chleba przykleiła do spodu wagi, a wtedy wyjdę na swoje. Jakież to były ciężkie chwile, do strachu dochodziła świadomość, że oszukuję biedaków o tę mało znaczącą kruszynę chleba, a tak ważną dla nich.

Niezmiernie trudno było stać za ladą, ręce się trzęsły przy podawaniu każdemu z kolejki porcji chleba. A jednocześnie trzeba było obserwować, by zagarniające brudne ręce nie kradły. Przy tym nie wolno było narazić się. Gdyby zauważyli jakiś fałsz z mojej strony, stali by się groźni, bo byłam jedną z nich. Z biegiem czasu stołownicy nabrali do mnie zaufania, wierzyli mi, było wówczas łatwiej pracować. Do południa należało „chlebowe talony” nakleić, zliczyć i co kilka dni zdawać sprawozdanie w kantorze tzw. „Trieście” - odległym o siedem kilometrów. To główne biuro znajdowało się w tzw. „Nowej Karagandzie” budowanej na zachód od starej Karagandy. Powstawały nowoczesne gmachy, wyglądające na wielkomiejskie. Obok znajdował się park z białymi marmurowymi postaciami naturalnej wielkości ze Stalinem na czele. W osiedlu tym nie było kopalni i powietrze było czystsze, wolne od woni siarki.

Z obiadów wydawanych na kartki w kuchni rozliczały się kelnerki, którym nie raz brakowało numerków, ale ponieważ ostatecznie rozliczenie przypadało mnie, nigdy nie kończyło się przykrymi konsekwencjami dla nich. Kombinowałyśmy wówczas, aby wspólnie się rozliczyć i zapewne dlatego spotykałam się z zyczliwością i gotowością pomocy dla mnie. Przecież każdego dnia wiązało się z trudem i niebezpieczeństwem. Oto spotykam po drodze naczelnika Pruszyńskiego. Zatrzymuje mnie z zapytaniem, co mi osę w tej wypchanej teuzce. Ja, patrząc mu w oczy, skarżę się, że mam tyle talonów, które muszę liczyć, naklejać i rozliczać się w „Trieście” odle-

głym o siedem kilometrów. Zamiechał zrewidowania mojej teczki, gdzie były nie tylko wspomniane papiery, ale ukradziony biały chleb przeznaczony tylko dla naczelników. Kradłam, bo musiałam zapewnić mojej mamie białe pieczywo. Coraz bardziej dokuczala jej przepuklina i w każdej chwili groził skręt kiszek.

Pewnego dnia na schodach stołówki przed drzwiami ujrzałam leżącego człowieka. Miał na sobie bardzo zniszczoną odzież, po prostu luźniana. Oczy miał zamknięte, wydawało się, że śpi. Tak zwykle zawołałam do siebie: „O Boże” - biedak otworzył oczy i szepnął - „Pani z Polski?” Zgubił kartki żywnościowe, lub mu je ukradli. Już kilka dni nie jadł, nie ma znikąd i ratunku. Był to początek miesiąca, groziła mu śmierć głodowa w dodatku w czas srożej zimy. Znow musiałam krasie, kombinować, żywić pana Kramera - tak brzmiało jego nazwisko. W roku 1946-ym spotkałam go z żoną w Szczecinie. Witął mnie jako swoją dobrodziejkę. Wybierali się oboje do Palestyny, gorąco namawiał mnie bym pojechała z nim. Cieszyłam się widząc pana Kramera takim szczęśliwym.

Nade mną również w tamtych dniach czuwała Boska opieka. Któregoś wieczóra w powrotnej drodze z pracy zostałam napadnięta przez złych ludzi. Było ich dwóch, wydawało się, że nie ma dla mnie ratunku, ale na mój krzyk dobiegł brat, który wyszedł na spotkanie. Mimo swoich kilkunastu lat doskoczył do zbirów, a mnie kazał uciekać. Później wpadł do domu pobity, okrwawiony, ale chwalił się, że również bił i pokazywał niedawno nabytą papierosnicę japońską całą we krwi.

Każdy dzień był pełen trudu, pracy i zawsze brakowało snu. Wstawałam ledwie przytomna nad ranem, po zastukaniu mojego wozaka w drzwi. Był to starszy człowiek o dobrym sercu, mnie traktował jak swoją wnuczkę. Otrzymałam chleb chronił przed kradzieżą, a gdy dowoziliśmy go do stołówki, odchodził na krótki odpoczynek. Opiekował się mną, część jego pamięci w moich wspomnieniach.

Kartki żywnościowe wydawane co miesiąc upowazniały również do jednorazowego zakupu trzystu gram słodyczy. Każdy musiał w pierwszym dniu miesiąca zapisać się - albo na „kafciety” (cukierki) - albo na „prianiki”, podobnie do herbatników. Do mnie należało przyjęcie towaru, rozważenie i rozdzielanie tych dodatkowych racji, które przychodziły w miesiącu zależnie od dostawy. Pewnego dnia zastępca naczelnika z wąsem podobnym do „baćka Stalina” zwrócił się do mnie z prośbą, że wprowadzić zapisał się na „praniki”, ale rad by otrzymać cukierki. Ja, pragnąc zadowolic „naczalstwo”, odważyłam słodycze, myśląc, że jakos sobie poradzę w rozliczeniu. Na drugi dzień zostałam wezwana przed oblicze władzy, iż zamiast być wdzięczną za dobrą pracę, dokonuję różnych kombinacji, które są przestępstwem. Oszukuję tym sposobem „raboczyj narod”, co jest zrozumiałe, bo przecież pochodzę z „burżujów krwiopijców”. Zdumienie moje nie miało granic, milczałam patrząc na mego prześladowcę i przypomniał mi się dawny sen, w którym widziałam odbicie portretu Stalina w szkle na biurku NKWD. Tak, przede mną siedział człowiek naprawdę do niego podobny. To musiało trwać chwilę, bo ocknąłam się na głos, że mam czekać na wezwanie. Rzeczywiście tej nocy, podczas dyżuru w stołówce, zostałam wezwana do naczelnika. Pamiętam, została ze mną wówczas Bećcia, żeby nie była sama. Spałyśmy jak zwykle na podłodze, w małym pokoiku, gdzie stołowali się naczelnicy, bo tam było ciepło. Obudziło nas silne stukanie: „Gala do naczelnika” - „Halina do naczelnika” - przyszła i na mnie kolej. Nie wstałam, nie poszłam, mijaly minuty, potem godziny. Bećcia przytuliła mnie do siebie. Płakałam, już nie zasnęłam, wkrótce trzeba było jechać po chleb. W brzasku dnia wszelkie niebezpieczeństwo staje się mniej groźne. Przeszedł kolejny dzień i znowu noc, której tak się bałam, ale nie się nie stało, już więcej mnie nie wzywano. Wkrótce całe naczalstwo zostało zmienione, co było dość częstym wydarzeniem.

Jeszcze jednym przydziałem raczono społeczeństwo. Była to wódka zmora mojej pracy. Dostarczano ją w beczkach. Alkohol był za pieniądze, a ludzie chętnie kupowali go za ostatni grosz. Sprzedaż odbywała się w stołówce po dniu pracy. Ustawiały się wielkie kolejki z manierkami, z różnymi blaszankami, z kubkami. Ludzie stali, czekali i bez przerwy przeliczali ruble



na ile im starczy. Obowiązywała i tu wielka dokładność. Pamiętam, jak wielokrotnie odmierzalam i pokazywalam kupującemu, że jest tyle, ile powinno być. Zwykle kupowali po szklance, odchodzili i natychmiast popijali. Za oknem rozlegał się śpiew i trwali dla nich minuta wspomnienia, a ja drżałam, by ponownie nie przyszli, bo pijanym nie wolno było więcej sprzedawać. Niekiedy wielokrotnie musiałam tłumaczyć i narażałam się na wyzwiska. Aby jakoś odgrodzić się od groźnego tłumu, zwykle rozkładałam swój szynk w kuchni stołówki i wódkę podawałam przez okienko. Zdarzyło się to przy kolejnym przydziale alkoholu. Już późnym wieczorem byłam sama, za okienkiem pusto, wyszli ostatni kupujący. Przede mną na stole sterta rubli w papierkach, utarg jak zwykle był wielki, beczka prawie pusta, a tu jeszcze przeliczyć i zabezpieczyć kasę - byłam bardzo zmęczona. Naraz otworzyły się drzwi i wezli dwaj żołnierze z sasiadującej obok jednostki wojskowej. Podeszli do okienka chwiejnym krokiem i zażądali wódki. Tłumaczyłam, że więcej nie mogę sprzedać, bo widzę że już pili. Nie bałam się, bo oni byli wszyscy zawsze dla mnie grzeczni. Czasami przychodzili po mnie, prosząc, bym im pograła na gitarze. Prowadzili mnie wówczas do swojej kuchni, gdzie przy kotle na schodach siadałam, a młodzi chłopcy śpiewali tęskne pieśni rosyjskie przy moim akompaniamencie. Zawsze starali się być wobec mnie w porządku i teraz bez obawy tłumaczyłam, że jutro owszem chętnie sprzedam, dziś nie mogę. Momentalnie stali się groźni, zaczęli mnie wyzywać: „Ty gordąja polaczka” (ty honorowa polka) zaraz cię nauczymy. Wtargnęli drzwiami, szli coraz bliżej, patrzyli na mnie i na stertę pieniędzy leżących na stole. Jeden z nich błysnął nożem w rękę, zbliżył się do mnie ze strasznym wzrokiem. Obejrzałam się, mignęła postać kucharza, uciekł. Powoli cofałam się do ściany, a oni coraz bliżej z wyzwiskami i z nożem. Naraz otworzyły się drzwi, do kuchni wpadli żołnierze z sierżantem, z którym ostatnio byłam we wrogich stosunkach. Oto niedawno założył się z kolegami, że mnie pocałuje. Wpadł ze świadkami i udało się, wygrał zakład, ale tak go spoliczkowałam, że czapka którą nosił na bakiel, potoczyła się aż do progu, przy wtórze śmiechu kolegów. Wystraszyłam się wówczas, myślałam że mnie uderzy, ale zachował się po męsku i zająście obrócił w żart. Był sympatycznym Gruzinem, nie można było go nie lubić. I oto teraz ratował mnie z opresji. Chwycili tych dwóch, prawie wynieśli ich na zewnątrz i dopiero za oknami rozpoczęła się szarpanina. Podobno ponieśli karę, więcej już ich nie spotkałam.

Przeżyłam wiele ciężkich chwil, byłam bezbromną dziewczyną, a jakże silnie chroniona Opieką Boską. Dzięki Ci Matko Nieustającej Pomocy.

### XIII

Ukończyłam dwadzieścia lat. Byłam młodą dziewczyną. Od lat piętnastu nie zjadłam ani jednego jabłka, moje nogi ze śladami po ranach szkorbutowych nie znały jedwabnych pończoch, nie przeżyłam ani jednej randki. Moje spotkania z Zygmuniami, Piotrusiami ograniczały się do przypadkowych spotkań, w których potrzebowałam pomocy, opieki, wsparcia. W moich marzeniach trwali koledzy jako polscy chłopcy. Z biegiem lat wyrósł mi polskiego chłopca, do którego powracałam w krótkich młodzieńczych snach. A w ogóle to byłam nieciekawą dziewczyną. Mała, drobna, z lekka krzywymi nogami, z brakującymi dwoma zębami po przebytych szkorbutach. Byłam w cieniu mojej pięknej siostry. Nigdy dotąd nie potrafiłam przystosować się do obyczajowości, jaka mnie otaczała. Gdzieś w głębi miałam zakodowane zło i dobro, na które natychmiast reagowałam, czułam się zawsze samotnie. Było mi z tym ciężko. Nawal pracy jaki mnie przytaczał, nie pozwalał na chwilę relaksu, na przebywanie z moją gitarą, powierniczką młodzieńczych wzdółtów. Stałam się mechanicznym robotem i została tylko modlitwa, której na szczęście nigdy

nie zagubiłam.

Z biegiem czasu wojna zbliżała się do końca. My, w Karagandzie byliśmy oderwani od wspólnej społeczności. Nie było powitań ramychnych żołnierzy wracających z frontu, nie spotkaliśmy listonosza z żalobnymi wieściami. Jeżeli widzieliśmy nowych, to przeważnie jeńców niemieckich, a było ich wielu. Spotkaliśmy również obrońców „ojczyzny radzieckiej”, ale tylko takich, których ziemne losy frontowe rzuciły do wojska wroga. Ci byli najbiedniejsi - jako „zmienniki” (zdrajcy) niejednokrotnie po ciężkich okaleczeniach wojennych młodzi chłopcy. Tkwili wśród nas jak niepotrzebne wraki, wyzbyci z czoł obrońców ojczyzny. Pamiętam młodego „lejtanata” (porucznika), który zakochał się w dziewczynie, a że nie mógł być mężczyzną wskutek, zadanych okaleczeń na froncie, popełnił samobójstwo. Wszyscy głęboko przeżywalismy losy ludzkiej niedoli i terroryzmu tamtych czasów.

Nadszedł rok 1945 - do nas doszły odgłosy działalności Związku Patriotów Polskich - Wojna miała się ku końcowi. Pamiętam zorganizowane spotkanie Polaków w odległym o pare kilometrów Dwudziestym Bisie. Była to nazwa zespołu kopalń znajdujących się na tym terenie. Nie zapomnę pierwszego wrażenia. Ze sceny przybranej polskim orłem, jakże obcym, bo bez korony, przemawiano do nas w języku ojczystym. Później wystawiono operetkę „Bajadera” - i moje oczarowanie nią. Zobaczyłam inny świat pełen śpiewu, muzyki i światła. Trudno było wracać do codzienności jaka mnie otaczała. Było jeszcze kilka spotkań, zorganizowanych dla nas Polaków, których okazało się mniej niż myślałmsy. Szli nasi rodacy, rozproszeni po kopalniach, często odnajdowały się rozłączone rodziny. Spotkałam kobietę, która odnalazła swoją córkę, a za wysłuchanie modlitw postanowiła sobie do końca życia ścisły post w pierwszym dniu Świąt Wielkanocnych.

Później wracaliśmy do katorżniczej pracy od świtu do nocy, ale już znośniejszej, bo przyświecała nadzieja rychłego powrotu do ojczyzny. Z czasem organizowano coraz czystsze spotkania, nawet połączone z zabawą taneczną. Wówczas przeżyłam mój pierwszy bal. Powiadomiono mnie wcześniej o mającej się odbyć rozrywce. Nie miałymy sukien na „wyjście”. Ciepło było zaraz po zakończeniu wojny. Nawet Karaganda obchodziła dzień Zwycięstwa. Na rynku zobaczyłam, różową sukienkę - zagraniczna, jak zapewniała sprzedająca kobiecina. Byłam nią oczarowana, zadłużyłam się, kupiłam. Bal odbył się, nawet tańczyłam, pomimo, że nie spotkałam żadnego polskiego chłopca. Przymykałam oczy by nie widzieć „ruskiej rubaszki” i wywijahałm koziołki. Przeżyłam wówczas mój pierwszy wale w dwudziestym roku życia: a piękna różowa sukienka fruwała razem ze mną. Taniec nie był mi obcy, bo od piątego roku życia poznawałam uroki tańca, najpierw w stroju krakowskim, później w wieku szkolnym. Moje umiejętności zawdzięczałam ciotkom, miałam ich dziesięć. Pamiętam je jako piękne, młode dziewczęta. Każda była dumna ze swoich długich włosów i pięknych zębów. Posiadały jeszcze piękne głosy, śpiewały w chórze kościelnym. Pamiętam, jak zadzicruli głowy w kościele w Kobryniu, gdy śpiewały Pomiatowszcanki, nazywano je tak od dziadka Pomiatowskiego. Już nie ma moich ciotek, ostatnią ciotkę Danusię odwiedziłam kilka lat temu, znalazła się aż w Kanadzie.

A więc pamiętam mój pierwszy bal. Oczywiście że miałam powodzenie (podobno każda babcia tak twierdzi). Później zostałam odprowadzona przez jednego z tancerzy. Był to (lejtant) porucznik z pobliskiej jednostki wojskowej, dobry znajomy, który nieraz mi pomagał w mozolnej pracy rozliczeniowej. Szliśmy o niezwyklej porze, był księżyc i gwiazdy i ze wstydem muszę przyznać, że na pożegnanie prosiłam go, aby mnie pocałował. Odpowiedział mi wówczas, że jestem uroczym zjawiskiem, jestem wsienką, której nie można nadgryźć, bo zwiędnie, a on jest tylko mężczyzną. To był pierwszy komplement w moim dziewczęcym życiu jaki wtedy usłyszałam. Przytulił mnie wówczas i zawał swoją siostrzyczką.

Z końcem wojny coraz częściej ludzie chcieli się bawić i cieszyć. Każdy miał nadzieję na polepszenie swego losu. Często było tak, że w godzinach wieczornych sala jadalna stołówki służyła jako miejsce do tańca. Ktoś przygrywał na harmonii, ktoś śpiewał, ludzie się bawili, wszak mamy pokój. Tylko ja nie mogłam iść na potańcówkę bo znalazł się człowiek, który mnie przesła-



dował. Był to ینگusz, jeden z ludów zamieszkujących górzysty kraj Kaukazu. Oni również dzielili los wygnańców z chwilą wybuchu wojny z Niemcami. Obrął sobie mnie, jako obiekt swojej namiętności, a że byli to ludzie o bardzo silnym temperamencie, nie miałam spokoju. Z chwilą gdy zauważył mnie, tracił panowanie nad sobą. Kazał grać kaukaskie rytmy i rozpoczynał taniec. Wszyscy ustępowali, stawali pod ścianami, tworzył się krąg, a mój wielbiciel w dość powolnym początkowo tempie, z namaszczeniem kroczył, sunąc i szorując nogami po podłodze. Początkowo wyglądało to na rytualny taniec, ale stopniowo coraz szybciej przebierał nogami, pot występował mu na czoło. Wpadał w trans, zrzucił po drodze mokrą od potu koszulę, niejednokrotnie podartą na strzępy i tańczył. Wyszukiwał wzrokiem moją skromną osobę i kłaniał się niemal bijąc pokłony do ziemi, aby wszyscy widzieli, że to na moją cześć. W swoim zapamiętaniu trwał tak, aż najczęściej jego starszy brat przywoływał go do porządku, do przytomności, uspokajał, wyprowadzał, a ten jeszcze z błędnym wzrokiem wyciągał ku mnie ręce i powtarzał w kolko mi moje imię. Wobec takich popisów nie mogłam pokazywać się. Najgorsze czasy przeżyłam, gdy został kierownikiem stołówki, a moim zwierzchnikiem. Początkowo tak postępował aby mi zaimponować, nie mógł zrozumieć mojego uporu. Lud zakaukaski był raczej oddzielnie, kultywując swoje zwyczaje. Kiedyś mój wielbiciel zaprowadził mnie do swojej rodziny na obiad. Stół był suto zastawiony, sporo dań i naczyń, samowar zajmował poczesne miejsce. Dookoła siedzieli tylko mężczyźni. Żony ich i córki stały rzędem pod ścianą przy progu i czekały, aby pożywić się resztkami z pańskiego stołu. A mnie się marzył polski chłopiec, z polskim domem... Wszelkie perspektywy ciekawego życia na Kaukazie roztaczane przede mną nie odnosiły żadnego skutku, toteż mój zwierzchnik stracił cierpliwość. Kiedyś dopadł do mnie w stołówce i strasznie mnie pobił. Bił na oślep pięściami, moje piersi pokryły się fioletowo - zielonymi plamami, które długo nie chciały zejść. Dziewczęta pospieszyły z pomocą. Innym razem okazało się, że mam wielkie manko po sprzedaniu beczki wódki. Groziło mi więzienie, a tym samym powrót do Polski stawał pod znakiem zapytania. Jak zwykle szukałam pociechy i ratunku w modlitwie.

Gdzieś w kacie stołówki uklęknęłam i zatopiłam się w myślach, że Matka Boska pomoże. Mój oprawca tymczasem innie szukał i znalazł, stojąc na progu patrzył. Pamiętam, że powiedział wtedy „Boh z tobuj” (Bóg z tobą) i od tamtej chwili bardzo się zmienił. Odnosił się do mnie z pewnym szacunkiem i zwrócił brązującą ilość wódki, która powodowała moje nieszczęsne manko.

Rok 1945 miał się ku końcowi. Trwaliśmy w dalekiej Karagandzie. Moja siostra znowuż naraziła się władzom, wysłano ją aż w kamieniokony. Raz na tydzień wolno jej było przyjechać do domu, gdzie mogła się unieć i przebrać w czystą odzież. Było daleko, a i dla mnie stała się daleka. Minęły czasy, gdy byliśmy zawsze razem. To była pomiekać i moja вина, bo z chwilą połączenia się naszej rodziny, zrzuciłam z siebie część odpowiedzialności. Brat, kilkunastoletni chłopak, pracował w kopalni, gdzie spotkał paru chłopców z Polski. Byli to Żydzi. Również ciężko znosili swoje bytowanie, nie znając jeszcze losu swoich bliskich pod okupacją niemiecką. Odwiedzali nas, śpiewali polskie piosenki, a nawet tańczyliśmy. Najbardziej pamiętam warszawskie tango, w rytm którego tańczył jeden z nich. Posuwicie szurał nogami po podłodze prowadząc zamaszycie partnerkę, jak tańczą chłopcy z Powisła. Patrząc na niego, paradującego w czapce na hakier, zasmiewaliśmy się, a on w tym momencie był „swoją Warszawą”. Łączyła nas wspólna pewność powrotu, ale dopiero po wyjeździe okazało się, że nie wszyscy mogli zostawić Syberię za sobą. Coraz bardziej wyczuwaliśmy czekający nas nowy etap życia. Każda rozmowa zaczynała się od powrotu. Każdego z nas młodych rozpieszczała ciekawość życia - czy hędziemy mogli się uczyć? Szło nowe...

W początkach następnego roku powiadomiono nas o przybliżonej dacie powrotu. Miał to być kwiecień, miesiąc w którym dnia trzynastego rozpoczęła się nasza zsyłka przed sześcioma laty. W żadnych słowach nie da się opisać naszego entuzjazmu. Dla mnie zaistniała perspektywa życia bez wazenia chleba, bez codziennego trudu rozliczania z głodowych racji uciemżonego ludu. Wszystko widziałam w jasnych kolorach słońca i wolności, nawet spotkanie z ukochanym ojcem. Jakże byliśmy dalecy od rzeczywistości, zwłaszcza naszej polskiej.

Moi zwierzchnicy uważali, że należy mi się nagroda za dobrą pracę. Otrzymałam ją w postaci kilograma mąki, kilograma kaszy i jakieś słodczyce, bodaj landrynki. To było znaczne wyróżnienie. Miałam po odbiorze zgłosić się w „Triescie” - w dyrekcji, gdzie zwykle się rozliczałam, a że stopniowo zdawałam swoje obowiązki, radości mojej nie było końca.

Wiosna roku naszego powrotu. Miesiąc marzec, śniegi szybko ustępują, step jeszcze błotnisty, ale już ciepło. Słońce parzyło spoza gęstych chmur karagandzkiego nieba. Wytuszałam w drogę. Wprawdzie znowuż wybierał się ze mną chłopiec, który ostatnio otaczał mnie nieustanną opieką, ale wolałam unikać jego troskliwości. Był to młody ponicznik Rumun, a miał to nieszczęście, że podczas walk trafił na stronę nieprzyjaciela jako jeńiec i do tego ramny. Został z kolei odbity i tak wyzwolony, że od tamtej chwili pozostał zdrajcą. Po wyleczeniu rani zesłano go na Syberię. Był jeńcem wojennym Związku Radzieckiego w randze oficera Czerwonej Armii. Nie dziwnego, że w swej samotności widział mnie jako dziewczynę, którą trzeba się opiekować. Często przemierzaliśmy razem siedmiokilometrową odległość do „Triestu”. Był miłym chłopcem, gdy przechodziliśmy obok bazaru, zawsze kupował „lepioszki”, które były bardzo smaczne. Nie chciałam przyjmować żadnych prezentów, nie chciałam mieć żadnych zobowiązań, to też postanowiłam sama załatwiać swoje sprawy.

Juz mijałam nasze osiedle, wysokie wieże obserwacyjne niemieckiej „zony”, przede mną rozciągał się step, przecięty linią kolejową. Miałam na sobie pallocik uszyty przez mamę, a w ręku woreczki na przydział mąki i kaszy, jako nagrodę za moją dobrą pracę. Lekko mi było i radośnie, a że ścieżka była błotnista wolałam iść, skacząc po podkładach kolejowych między szynami. Na myśl o szybkim powrocie do Kraju juz zeganiałam ten syberyjski step pełen ciszy bez roślinności, bez praków, bez wolnych osiedli ludzkich. Wprawdzie wiosna trwała i w oddali trochę się zieleńilo, ale wolałam patrzeć w niebo o pięknej barwie błękitnej i białych obłokach suną-

cych na zachód... Naraz usłyszałam, że ktoś za mną biegnie - „Dziewczyno poczekaj” - wołał po rosyjsku. Był to mężczyzna w sile wieku, pamiętam, że miał na nogach gumowe buty do kolan i worek na plecach. Począł przyjaźnie rozmawiać, wypytywać skąd jestem, ale po pierwszych słowach zorientował się, że jestem Polką. Akcent często zdradzał moje pochodzenie i zwykle słyszałam „eto polaczka z Arszawy”. Zapropozował żebyśmy ześli z nasypu, z torów na ścieżkę, poczułam niepokój, zostawał powoli w tyle za mną, bardzo chciałam się go pozbyć. Gdy się obejrzałam, napotkałam jego wzrok, chciałam uciekać, ale nie zdażyłam. Zaatakował mnie: chwytając za szyję powalił na ziemię, zostałam przygnieciona przez ciężkiego ogromnego zbita. Rozpaczliwie broniłam się, kopiałam, drapałam jego straszna, ubłą twarz gdy przytrzymał mnie za nogi. Zadrapania zmieniły się w strużki krwi i ten krzyk, że mam się uspokoić, a ja krzyczałam, szarpałam się i coraz bardziej opadałam z sił. Naraz zobaczyłam niebo, zaczęłam wołać Matkę Boską na pomoc. „Matko Niepokalana, ratuj”. Nagle mój prześladowca znicuchomiał, patrzył na linie przestraszonym wzrokiem. Był podrapany, ociekał krwią, mignęła myśl, że nadszedł mój koniec, a on naraz zerwał się i zaczął uciekać. Chwytał po drodze swój worek i oglądając się na mnie z paniką zaczął uciekać, szybko, byle dalej. Leżałam umazana w błocie, spomiewierana w podartej sukience. Po chwili pozbierałam się jakoś, podniosłam się. Zbliżał w moim kierunku wóz konny z azjata. Znowuż zamarłam ze strachu, ale on tylko obejrzał się za uciekającym i przejechał obojętnie obok. Zostałam sama, półprzytomna, myślałam tylko o tym, że już teraz nie mogę wracać do Polski. Wspierałam się na nasyp kolejowy, położyłam się w poprzek torów i czekałam na pociąg, który powinien nadjechać. Nagle uprzytomniłam sobie, że zostanę zmasakrowana a nie mam ani kartki ani ołówka żeby napisać kim jestem i moja mama nigdy się nie dowie. Umiosłam się i położyłam głowę na zewnątrz torów, teraz rozpoznają, głowa będzie cała. Leżałam tak czekając na śmierć. Szyny zaczęły drgać, dał się słyszeć donośny gwizd pędzącego pociągu. Ujrzałam zbliżającą się lokomotywę, jej wielkie lampy, przestraszyłam się, przekoziółkowałam i zsunęłam z nasypu, a wagony terkoczące przejechały nade mną. Znowuż leżałam w błocie, uświadomiłam sobie powoli, że przecież nic złego się nie stało. Było mi zimno, mokro i chciałam tylko do mamy. Szłam z powrotem do domu, płakałam i płakałam. Blżej osiedla ludzi oglądali się za mną. Pamiętam moją matkę jak pochylona, płacząc, rozbiierała mnie i myła. Dopiero wówczas poczułam, że jestem bezpieczna. Matka Boska Niepokalana jeszcze raz dała dowód Swojej Przemężnej Opieki.

#### XIV

Wiosna roku 1946-go. Przed nami wymarzony przez sześć lat zsyłki powrót do Polski, jakże inny od tego, który wyobraziłmy sobie przez wszystkie wiosny i jesienie syberyjskie. Nasza rodzina była odosobniona, wśród obcych w Karagandzie. Nie byliśmy w tej wspólnocie kółchożnej, w posesiołku Rozdolnoj, gdzie wielu Kobyriańców trzymało się razem. Nie raz wspominaliśmy, czy jeszcze raz spotkamy naszego ojca - nic o nim nie wiedzieliśmy. Już wtedy marzyły się zjazdy Sybiraków, pokrzywdzonych rodaków Kresowej Polski. Twarda rzeczywistość była inna. Przygotowania do powrotu mobilizowało, aby tylko nie być pominiętym. Ze wszystkiego należało się rozliczyć. Jakikolwiek nieporozumienie z władzami mogło pozbawić ujrzenie Kraju. Ja z Marysią bez przeszkód otrzymałyśmy „udostowierzenia”, jako obywatelki polskie, gorzej było z mamą. Na szczęście miała zdjęcie z dawnej legitymacji policyjnej z okrągłą pieczęcią Rzeczypospolitej. Przy zdawaniu dokumentów zachowała to zdjęcie, a i brat był uratowany, bo jako małoletni był wpisany do dokumentów matki. Nie było wielu tobołków, nawet koszul - nie mieliśmy na sobie, ale worek sucharów był przygotowany, bo wtedy nigdy nie wiadomo, jak będzie.

Ja po ostatnich zajściach nie przeżywałam wielkiej radości. Unikałam ludzi, byłam zamknięta w sobie. Dookoła widziałam okrutny zły świat. Chciałam się ukryć przed ludzkim wzrokiem i postawiałam wstąpić do klasztoru. Dopiero to wewnątrznie zdecydowanie mnie uspokoiło. Każdy dzień witałam jako niebyły, przejściowy, bo moje życie rozpocznie się dopiero za bramą klasztorną. Byłam bardzo samotna. Radość z powrotu była daleka od tej wymarzonej. Każdy z nas był kimś innym. My dzieci, a potem młodzież, dorosiliśmy w głodzie i chłodzie. W pogardzie i wrogości. Nasze matki postarzały o sześć lat troski o dzieci w nieludzkich warunkach, pozbawione domu, walczące o przetrwanie, a niejednokrotnie muszące godzić się z losem, gdy twarda gruda syberyjskiej ziemi przykrywała dziecięce ciała pozostawione na zawsze na szlaku tułaczki. Nic nie wiedzieliśmy o losie naszych ojców. Przerzął nas ogrom Syberii, niekończące bezkresne stepy, które przejeżdżaliśmy, porwani przez przeraźliwie krzyżącą lokomotywę pociągu, ciągnącą setki wagonów bydłowych, pełnych zesłańców. Dwudziesty wiek umożliwił nam, katorżnikom polskim pokonywać wielkie przestrzenie na tradycyjny historyczny wschód nie pieszo, nie w kibitkach, ale w bydłowych wagonach. Szkoda, że tylko tam, na dalekiej Syberii dał się słyszeć okropny gwizd lokomotyw, który nawet po latach przesładował nas w swoich wspomnieniach. To powinien słyszeć cały świat ku przestrodze, w walce o prawo i godność człowieka.

Jakże nam zazdrościli mieszkańcy, rdzenni obywatele sowieccy. Nie mogli tego zrozumieć, że daleka ojczyzna nie zapominała o nas biednych, młuczkiach. Pamiętam, że nie wszyscy mogli wrócić, a zwłaszcza Żydzi, którzy uciekając przed Niemcami nie mieli dokumentów stwierdzających obywatelstwo polskie. Pod okupacją niemiecką niewątpliwie zginęliby w piecach krematoryjnych, a czy wygrali swój los, pozostając na zawsze w kopalniach Karagandy? To też los ich był opłakany, zegnali nas płaczem, nie wiemy czy pozostali tam do dziś.

Przyjechał wóz ciężarowy, skwapliwie zajęliśmy miejsca. Patrzyłam na żegnające nas życzliwe twarze, na oczy zalane łzami. My też płakaliśmy. Zegnaliśmy wszystkich, którzy zostawali na tej nieludzkiej ziemi. Znowuż rozmieściliśmy się w bydłowych wagonach i na narach służących do spania, ale radosna wrzawa skracала niecierpliwe oczekiwania kiedy ruszymy. Przed sześciu laty każde drgnięcie pociągu przejmowało nas strachem, ale nuncy wszelkie niedole, były prędzej na zachód. Naraz wszyscy poczuli się bohaterami, jak ta staruszka, która wołała, że przez sześć lat nie dotknęła rubla, tak ma w pogardzie naszych ciemniejszych. Powracając, to były przeważnie kobiety z dziećmi i starzy ludzie, ci którzy przetrwali. O naszych ojcach nadal nic nie wiedzieliśmy, a ich synowie walczyli za Polskę szlakiem Monte Cassino lub pod Leningo. Wszędzie płynęła polska krew, polskie łzy i święte słowa „Wszystkie drogi prowadzą do Polski”.

Pociąg ruszył jak przed laty w dwutygodniową podróż. Były piękne księżycowe noce, siedzieliśmy blisko otwartych drzwi wagonu, a pociąg szedł stale na zachód wraz ze słońcem. Wydawało się, że wszelkie zło zostawiamy za sobą dziewczęta śpiewały, a ja akompaniowałam na swojej gitarze. Strzegłam jej jak zrenicy oka, wszak to był prezent od mojego taty i tyle ze mną przetrwała. Wiozłam również moje dwa zeszyty, uzupełnione rysunkami. Niewiele ich było - szkic stuletniej staruszki wywiezionej samotnie z Wilna, z którą leżałam w „balnicy”, rysunki ortów, księdza z podniesionym krzyżem, z okrzykiem „za Ojczyznę”. Trochę przykro, że tylko tyle - co pokazać Tacie? Ciężko pracowaliśmy, nie mieliśmy warunków na luksusy.

W moich snach przesładowały mnie zjawy. Oto jestem już w Polsce, ale nie mogę dla siebie znaleźć miejsca. Wielkie zgromadzenie ludzi i pełno czerwonych sztandarów. Wszędzie czerwień i słońcem połyskujące młoty i sierpy. Budziłam się zroszona potem, w niepokoju. Lekarz miał rację. Miałam ostrą nerwicę. Brałam wówczas gitarę i grałam w zadumie. Pewnego dnia nasza Mama wpadła w histerię. Porwała moją gitarę i podeptała ją w bezsilnej rozpacz. W wagonie była cisza. Słyszeliśmy tylko trzask deptanego instrumentu. Siedzieliśmy odrętwiali i od tamtej chwili w ogóle nie mogłam spać, stale słyszałam trzask. Biedna moja Mama nie była zdolna do tego, by zostawić za sobą widmo zsyłki i cieszyć się nadechodzącym życiem.

Zbliżaliśmy się ku dawnej polskiej granicy. Na jej przejściu pociąg stanął. W blasku zachodzącego słońca ludzie wychodzili z wagonów i klękali. Starzy całowali ziemię i niejednokrotnie trwali tak schyleni, dziękując Bogu za szczęśliwy koniec swojej poniewierki. Ruszyliśmy na Brześć ku nowej granicy naszej Ojczyzny. Tam musieliśmy czekać kilka dni. Zdecydowaliśmy się na odwiedzenie naszego Kobrynia, wszak to było tylko czterdzieści pięć kilometrów. Jakiś ciężarowy wóz zawiózł nas. Ulica Ogrodowa była ulicą Puszkina. Brak numeru siódmego. W miejscu gdzie stał nasz dom rosła zielona trawka, zostały tylko marmurowe schodki. Nie było budy psa, koło której zakopaliśmy szablę ojca. Dom babci opustoszał. Dziadek który nas zegnał ze łzami, spoczywał już na cmentarzu. Pozostały tylko trzy ciocie, niektóre już nie żyły. Pozostałe wywiezione na roboty do Niemiec jedyny wujek Adas zaginął bez wieści. Było to smutne spotkanie. Babcia bez przerwy płakała. Dookoła zastraszeni ludzie. Zaraz za domem rozegrała się tragedia Żydów. Zwozili ich, a potem krew płynęła rynsztokiem, ziemia się ruszała... Wokół śmierć i strach. Ulica Traugutta już nie była taka piękna, wiele pustych okien patrzyło na mnie, tylko pompa z której czerpaliliśmy wodę, stała nieporuszona. Wielka agawa przed starostwem, duma naszego miasteczka, wydająca kwiat czerwony większy od wiadra, teraz mocno uszkodzona, tkwiła jak ruina. Rynek pusty i cichy. Nie był Żydów zachwalających swój towar, ani poleszuków z kobiałkami masła, sera, grzybów. Pobiegłam do kościółka. Dawna ulica Trzeciego Maja również martwa, bez cukierni, do której chodziliśmy na ciastka, bez domu zakonników, gdzie przebywali chłopcy sieroty. Synagoga tkwiła jako ślad. Kościół na końcu ulicy jak dawniej za wysokim, murowanym ogrodzeniem stał nieuszkodzony. Obok cmentarz częściowo zdewastowany ale pomnik Legionistów wznosił się jak dawniej, tylko dookoła zarosnięty zielskiem. Widziało mi się nasze wojsko z pochylonymi sztandarami, a tuż obok my,



*Powrót z zesłania - 1946 rok.*

młodzież szkolna - białe bluzeczki, granatowe spodniczki - koledzy galowo, na granatowo... Wróciłam do rzeczywistości, przekroczyłam próg kościoła. Po środku stał czarny katafalk, trumna w żałobnym cahunie, przed nią na czarnej poduszce odznaczenia, obok parę osób. Cichym głosem ksiądz zegnał panią Zabińską. Nie mógł wiele powiedzieć Pani Zabińska, wielka patriotka, była nauczycielką mojej mamy jeszcze z carskich czasów. Wówczas oficjalnie prowadziła szkołę szycia dla dziewcząt, ale każda z uczennic miała wszytą kieszeń pod długą suknią na polski elementarz.

Przy wyznaczonych dyzurach odbywały się lekcje ojczystej historii. Znam to z opowiadań mamy, która niejednokrotnie była zatrzymywana przez „stojkowego” na ulicy z podejrzeniem o polskość. Gdy wybuchła wojna w roku 1939-ym pani Zabińska przykuta do fotela również działała. Ja, jako harcerka biegłam do jej domu, gdzie zorganizowano akcję pomocy dla wojska. W ostatnich dniach sierpnia pamiętnego roku ciągnęły ulicami tabory wojskowe, a my, harcerki tkwiłyśmy wówczas w oknach z igłą, i z nicią, lub chłodnymi napojami, by każdego żołnierza przekonać że Naród Polski jest z nim. A było wesoło. Młodzi chłopcy niejednokrotnie odrywali guziki, by prosić nas o przyszycie. Niedaleko nas siedziała pani Zabińska w swoim fotelu i uśmiechała się. A teraz odeszła, jakże nie w porę. Wszak znowuż nie było Pol-

ski na rubieżach, o którą tyle lat walczyła. Henryk Sienkiewicz pisał w „Panu Wołodyjowskim” - „Zołnierzu wstań. Ojczyzna w potrzebie.” Zegnaliśmy ostatniego rycerza na rubieżach Rzeczypospolitej w ciszy i rozpacz, w smutku i trwodze. Nasz Kobryn również musieliśmy pozostawić na szlaku naszej tułaczki.

Przy przekroczeniu granicy na Bugu odwróciliśmy głowy, by nie widzieć „krasnoarmiejca”, ale niestety, po stronie polskiej tkwił na straży taki sam obcy żołnierz. Na pierwszej stacji obrzucano nas kamieniami, słyszeliśmy „Żydzi, wracajcie do Moskwy”. W naszym wagonie został ranny starszy człowiek, wychylił się, chciał witac rodaków, na granicy całował polską ziemię. A potem wieźli nas bezdomnych, niechcianych, z workiem sucharów dalej na zachód, ale już zatrwożonych smutnych. Trafiliśmy do Szczecina. Było ciężko, nawet przydały się suchary. Moje wstąpienie do zakonu coraz bardziej stawało się nierealne. Miałam obowiązki wobec rodziny. Mama chora, siostra niezdolna do pracy, brat do szkoły, chociaż on powinien się uczyć. Musiałam iść do pracy.

Pewnego razu spotkałam starszą osobę, zakonnice przy kościele Serca Jezusowego w Szczecinie. Zwierzyłam się z moich osobistych pragnień. Spojrzały na mnie oczy kobiety: „Dziecko, ja wstąpiłam do zakonu, bo straciłam rodzinę w Powstaniu Warszawskim. Jesteś młoda, musisz rodzić i wychowywać dzieci, by nasza polskość nie zaginęła”. Głęboko zapadły te słowa. Spotkałam „polskiego chłopca”, a nasza sąsiadka skwitowała to z humorem, zwracając się do mnie: „No nareszcie pozuliłaś wolę Bożą”.

I potoczyło się moje życie.

## KONIEC

Szczecin 2014



*Mój dom w Kobryniu*